



Indye. — Nowy szpital dla trędowatych w Mangalorze; podług fotografii przysłanej przez O. Müllera. (Zob. str. 314).

Missyonarz lekarzem trądu.



Od czasu, gdy ś. p. O. Damian Deveuster po apostołsku zajął się trędowatymi na wyspie Molokai, *Missye katolickie* już niejednokrotnie podawały wiadomości o podobnych pracach, czy to na wyspach Sandwickich, czy na Madagaskarze, czy w Japonii lub Indjach. Do tych ostatnich wypada nam znowu zawitać, aby się przypatrzeć nader skutecznej pracy O. Müllera, następcy X. Diamanti'ego w szpitalu dla trędowatych w Mangalorze. Nie więcej tam poświęcenia, heroizmu i ofiarności, jak w innych miejscowościach, nie więcej czynnej miłości bliźniego; ale jest tam coś, czego gdzieindziej niema: nadzwyczaj pomyślne skutki leczenia choroby, szczydzącej dotychczas ze wszystkich leków i z całego postępu medycyny.

P. Kennedy, znakomity lekarz angielski, który wybrał się w daleką podróż do Indyi, aby tam na miejscu zbadać trąd, tak pisze do O. Müllera o zakładzie w Bitunga pod Bombajem.

»Przestronność, obfitość powietrza, czystość i schłodność całego zabudowania, zrobiły na nas jak najlepsze

wrażenie. Wszystko co można było dla wygody i ulgi tych biednych Hindusów uczynić, zrobiono, ale prócz urządzeń i środków leczniczych, wymaganych przez ogólną higienę, nieszczęśliwi ci ludzie znajdujący się w stadium dosyć posuniętem choroby, nie odbywają żadnej kuracji. Lekarz zakładowy oświadczył mi, że wszystkie sławione lekarstwa na trąd, jak *cebula*, *chalmugra*, *resorcin*, *ichthyol* i t. d., okazały się całkiem bezskutecznymi«.

Podobnie wyraża się p. Kennedy w tymże liście o drugim zakładzie utrzymywanym przez missyonarzy na wyspie Trambay:

Z tego widać, że dotychczas mowy nie było o uleczeniu trądu, albo o powstrzymaniu straszliwej tej choroby, lecz jedynie o niesieniu ulgi i pociechy biednym tym istotom, których choroba niezdolnymi czyni do pracy, a zaraźliwość jej zmusza bliskich do trzymania się od nich zdaleka.

Otóż O. Müller z naszego zakonu zmuszony okolicznościami do założenia zakładu dla trędowatych, począł ich leczyć metodą elektrohomeopatyczną Matejego i tak znakomitych doczekał się rezultatów, że zwrócił na siebie uwagę nie tylko rządu, ale całego świata lekarskiego w Indjach.

Zakład O. Müllera bardzo skromne miał początki. Dwanaście lat temu, w r. 1882 zapukano do drzwi skromnego pomieszkania missyonarzy w Mangalorze. Na zapytanie, kto puka, dowiedziano się, że chodzi tu o trędowatą staruszkę, której rodzina ze względu na własne bezpieczeństwo dłużej trzymać u siebie nie może, ale pragnąc przytem jak najlepszej opieki, prosi OO. Missyonarzy o przyjęcie jej do swego szpitaliku. Missyonarz jest wszędzie lekarzem, to też i tu obok misyi stanął wkrótce przytułek dla chorych, ale dotychczas nie przyjmowano trędowatych, którzy i oddzielnego mieszkania i właściwej sobie opieki wymagają. Ponieważ jednak od pewnego czasu myślano o otwarciu osobnego szpitalu dla trędowatych, skorzystano z tej sposobności, aby na prędko wybudować malutką lepiankę zdalą od innych mieszkań, i staruszka nasza pierwsza w niej zamieszkała.

Oddawna dawał się missyonarzom czuć brak większego szpitala dla trędowatych, zostającego pod kierunkiem ludzi dobrze myślących i przychylnie dla wiary św. usposobionych. Często w tych okolicach zaraza trądu nie oszczędzała i nowo nawróconych na łono Kościoła św., którzy w biedzie swojej nie mogąc gdzieindziej, zmuszeni byli szukać rady i pomocy albo u owczarzy indyjskich, albo u protestanckich missyonarzy; pierwsi lekarstwa swoje przyprawiali różnemi zabobonami i przesadami, ostatni korzystali ze swego wpływu, aby biednych tych ludzi od Kościoła odciągać. To też ciesząc się, że tak wielkiej potrzebie misyi będzie można wkońcu zaradzić, powierzyli przełożeni kierownictwo nowo założonego zakładu O. Müllerowi, biegłemu w znanej już szerszym kołom europejskim, metodzie homeopatycznej Hannemanna.

Przed wyjazdem do Indyj pracował O. Müller przez całe dwa lata pod kierunkiem bardzo biegłych homeopatów francuskich. Dzięki tym wiadomościom, jakoteż jego przedsiębiorczości i energii, nowy zakład rozwijał się szybko, tak, że wkrótce trzeba było pomyśleć o jeszcze obszerniejszym budynku. Przy ofiarności kolonii angielskiej i Hindusów w Mangalorze, wznosił się pod osobistym kierunkiem O. Müllera nowy szpital, mogący pomieścić 33 osoby. Utrzymywano ich częścią ze subwencji magistratu (z początku 300, potem 150 rupij rocznie), częścią ze składek. Jednakowoż chociaż na opiece i staranności nie zbywało, stan chorych nie lepszym był, jak w zakładach podobnych koło Bombaju, o których wspominał Dr Kennedy. »Do czerwca 1890 r., kiedy rozpocząłem leczyć zwykłą homeopatyą, umarło mi 12 trędowatych« — pisze O. Müller w swoim sprawozdaniu za rok 1890.

Godne to tembardziej uwagi, że w przeciągu sześciu następujących miesięcy, kiedy zastosował pigułki hr. Mattejego, stan chorych stał się uderzająco lepszym. Jest ich 33, czytamy w liście O. Müllera, pisanym na

początku 1891 r., w różnych stadiach trądu, różnego wieku: starcy, staruszki i dzieci. Niektórzy z nich są do niepoznania zeszczeni obrzmiałością twarzy, szczególnie uszu, ręce, nogi spuchłe; u innych brak całkiem tych członków i niepozostają tylko resztki. Czterech z nich dogorywa«.

Dotychczas O. Müller nie zajmował się bliżej metodą hr. Mattejego, bo wierząc homeopatii, nie przypuszczał, żeby w tym kierunku wiele udoskonalić się dało. Skoro jednak pomyślnie skutki kuracyi tą metodą prowadzonej, człowiekowi zdrowo myślącemu wątpić dalej nie pozwoliły o praktyczności zmian, jakie hr. Mattei w homeopatii zaprowadził i o sile leczniczej jego środków, postanowił O. Müller doświadczyć ich na swoich trędowatych. Wszak nic nie było do stracenia, bo medycyna szkolna okazała się wobec trądu bezsilną, a do zyskania było dużo. Próba prześcignęła wszelkie oczekiwania.

»Z tych czterech dogorywających, pisze znowu O. Müller, żaden nie umarł. Inni doznali znacznego polepszenia, niektórzy całkiem wyzdrowieli. I tak n. p. jakiś Rodriguez, 16-letni młodzian, kiedy przyszedł do szpitala, miał ranę otwartą na lewej nodze, szeroką na 6 cali i długą na 3. Uszy, wargi, palce, w ogólności całe ciało było nabrzmięte; niejedna część organizmu była całkiem znieczulona. Obecnie rany się zamknęły, puchlina spadła i czułość zupełnie wróciła.

»Również Izabella Naranha z Bendery wróciła całkowicie do zdrowia. Sześćdziesięcio-letnia ta staruszka od sześciu lat zarażona była trądem. Palce u rąk i nóg nabrzmięte były od lat kilku, nogi od kolan aż do stóp znieczulone, na prawej przytem rana. Rana obecnie zgojona, puchlina i nieczułość ustąpiły.

»Podobne rezultaty dały się skonstatować u 15 innych trędowatych: 9 mężczyznach i 6 niewiastach. — Wszystkich tych przyjąłem za świadectwem urzędowem lekarza, że są dotknięci prawdziwym trądem«. W ogólności, powiada O. Müller, różnica między jego trędowatymi a innymi wpada w oczy. Chcąc zakład swój urządzić jak najlepiej, zwiedził on podobne zakłady w innych częściach Indyj i wyznaje, że kiedy tam przygnębienie, apatya, smutek, wycieńczenie maluje się na twarzach biednych tych ludzi, to w jego szpitalu wygląd tych biedaków jest znacznie lepszy; swoboda, wesołość przebija się na ich schorzałych obliczach. Słowa O. Müllera potwierdza pułkownik angielski Jerzy Chrystic (Colonel, Staff Corps) w swym liście do znanego w Indjach dziennika *Madras Mail* pod datą 11 lutego 1891 r., a więc w parę miesięcy po rozpoczęciu nowej kuracyi:

»Niżej podpisany zwiedził niedawno ten szpital. Znajduje się tam 33 trędowatych, z których wielu cierpi już od 10 lat i więcej. Stadyum choroby u wielu jest

bardzo posunięte, utracili oni palce u rąk i nóg. Człowiek najbardziej niedoświadczony o skuteczności kuracji wątpić nie może; dotknięte trądem nogi i ręce wygoiły się, zachowując czarne plamy, wskazujące na miejsca, dokąd się trąd rozciągał; puchlina z uszu znikła, podobnie jak w części przynajmniej znieczulenie chorych członków, będące najcharakterystyczniejszą cechą trądu. Lekarstwa zdają się powstrzymywać odrazu postęp choroby, choć kuracja idzie powoli.

Nic tedy dziwnego, że po tak niesłychanie pomyslnych rezultatach, osoba O. Müllera i jego leczenie w krótkim czasie zwróciła na siebie uwagę nie tylko miejscowych władz angielskich i ludności okolicznej, ale i całego indyjskiego społeczeństwa. Wynalezienie bowiem skutecznego lekarstwa na trąd nie mniejszej jest doniosłości dla tamtych stron, jak dla naszych szczepienie n. p. ospy, odkrycie Pasteur'a, nieudana próba leczenia suchot przez Dra Kocha w Berlinie.

Przedewszystkiem miejscowa kolonia angielska okazała szczere zainteresowanie się nową instytucją. I tak już w r. 1891 Mrs Palmers, kolektor w Mangalorze, a więc jeden z najwyżej postawionych osobistości, pospieszył artykułem do *Madras Mail* zapoznać publiczność ze szczęśliwymi próbami O. Müllera, podawszy potrzebne wiadomości, dotyczące osoby tego Ojca, apteki, którą prowadzi i wreszcie zakładu trędowatych.

»Zeszłej niedzieli, pisze on, podczas mych odwiedzin w szpitalu, mogłem zauważyć, że oni (trędowaci) zdają się być uszczęśliwieni z nowej kuracji i wielką im pociechę sprawia opowiadać, co za polepszenia ten lub ów zauważył w swem zdrowiu.

»P. Morgan (bogaty kupiec mangalorski) zjął fotografią wszystkich charakterystycznych trędowatych, w stanie w jakim się obecnie znajdują, aby mózdz później porównywać, jakie skutki sprawiła nowa metoda leczenia. Obecny był przytem Dr Lec, lekarz cywilny, a chorych wybrał Dr Thummon, poprzednio skonstatowawszy u nich prawdziwy trąd. Spodziewam się, że tych kilka słów wystarczy, aby pismo wasze zachęcić przynajmniej do zwrócenia uwagi swoich czytelników na dzieło, które badać może nie pierwszy lepszy, ale człowiek pełen współczucia i filantropii. Smutny ten zakład, sam w sobie odrażający dla nędzy, która w nim mieszka, woła o współczucie i pomoc do wszystkich chrześcijan bez różnicy wyznania. Wielebny O. Müller ma silne przekonanie, że na świecie więcej dobrego niż złego; dzieło zaś jego niech tylko będzie poznanem, nie omieszka być ocenionem«.

I rzeczywiście O. Müller nie zawiódł się, bo wspaniałomyślnie datki płynące bez przerwy za przykładem szlachetnego p. Palmersa, Halmesa, wyższego sędziego w Mangalorze i innych, ułatwiły nie tylko utrzymanie ubogich, po największej części trędowatych, ale i rozszerzenie szpitalu.

W r. 1893 Lord Kennedy, gubernator Madrasu, skorzystał ze sposobności pobytu swego w Mangalorze, aby zwiedzić wraz z małżonką swoją zakład O. Müllera i oświadczył z zadowoleniem deputacyi katolickiej, że znalazł go w stanie kwitnym.

W ostatniem rocznem sprawozdaniu o swoim szpitalu, opisuje O. Müller ten pobyt i załącza przytem listę znaczniejszych datków, jakimi dobrzy ludzie wesprzeć go chcieli. Otóż znajdujemy tam jako dowód wielkiego zainteresowania się nową metodą leczenia, nazwiska bez różnicy, Europejczyków i Indyan, Anglików, Portugalczyków, członków różnych wyznań, kast, mieszkańców wszystkich niemal części półwyspu Indyjskiego. Jeżeli innych ciekawość lub dobre serce do O. Müllera zbliżyły, to biednych trędowatych najważniejsza dla nich sprawa, bo odzyskanie zdrowia i przedłużenie życia. To też liczba nowo zgłaszających się była tak wielką, że nie mogąc przytulić tych biedaków w dotychczasowem zabudowaniu, postanowiono wznieść nowy. I tu znowu O. Müller musiał dać dowody swych zdolności inżynierskich i budowniczych. Przy pomocy swych trędowatych, którym siły na to pozwalały, wyrównał teren (zob. ryc. na str. 312) i kierując sam budową, w kilku miesiącach postawił gmach piętrowy, mogący w licznych swych celkach pomieścić kilkudziesięciu chorych. Do niego przyłączono aptekę, mającą służyć na skład główny lekarstw elektrohomeopatycznych na całe Indye. Jak wiadomo hr. Mattei, aby uniknąć fałszerstw, zachowuje dotychczas sposób preparowania swych lekarstw w największej tajemnicy. Mając więc, wyrób ich w swem ręku, może dowoli wybierać i wyznaczać pewne firmy, gdzieby można było bez obawy oszukaństwa otrzymywać potrzebne środki do elektro-homeopatycznej kuracji. Dostatecznie wysokie ceny tych lekarstw, umożliwiają hrabiemu odstępywanie znacznego rabatu. To też wielką łaską z jego strony jest oddanie komuś głównego składu w jakimś mieście, prowincyi lub kraju.

Na Indye tedy ogłosił on O. Müllera za głównego swego agenta. Otrzymałszy na to pozwolenie Ojca św., zgodził się na to O. Müller, i świeżo otwarty skład apteczny, bo dopiero 1892 r. tak wielką już zyskał klientelę, że obecnie koło 100 chorym dochodzącym, może O. Müller lekarstw udzielać (między tymi koło 50 darmo) i opędzać utrzymanie w szpitalu 35 innych. Doświadczenia swoje spisał O. Müller po angielsku w krótkim podręczniku elektro-homeopatycznym¹⁾, który w przeciągu roku doczekał się nie tylko drugiego wydania, ale tłumaczenia na pięć dyalektów indyjskich (kanaryjski, malajski, bengalski, mahracki, tamulski (drugie wydanie) i na język francuski.

¹⁾ *Guide for the use of the electro-homeopathic medicines of Count Caesar Mattei* by Rev. Aug. Müller S. J. Mangalore South-Canara, second. edition., 1892, (Printed at the codial Boil. press.).

Tej niezrozumianej u nas w Europie popularności nowej metody leczniczej, daje wyraz list lekarza Geoff, który do wyż wspomnianego dziennika dnia 5 marca 1891 r. tak pisze:

»Łaskawy Panie!

»Należąc do ścisłej (*orthodox*) szkoły lekarskiej, chcę podzielić się z panem moim zdaniem, co do lekarstw elektro-homeopatycznych hr. Mattejgo. Jak tylu innych lekarzy wychowanych i praktykujących podług przepisów medycyny szkolnej, pełny byłem uprzedzeń do homeopatyi i do jej mikroskopijnych dawek, w szczególności zaś drobniutkie pigułki elektro-homeopatyczne nie zasługiwały w mych oczach, jak na śmiech i wzgardę,

tem mniej na rozpoczęcie niemi próby na moich pacjentach.

»Pomiędzy chorymi, którzy u mnie zasięgali rady, były dwie majątne osoby zarażone trądem. Poradziłem im, aby użyły jednego z bardzo kosztownych lekarstw, jakie wynalazca za wypróbowane na to cierpienie podawał.

»Podług przepisu przyjmowały one to lekarstwo przez 6 miesięcy, ale nadaremno. Nie widząc tedy żadnego skutku, aby oszczędzić sobie wydatków, przestały do mnie uczęszczać i tak straciłem je zupełnie z oczu. Było to sześć miesięcy temu. Zeszłego miesiąca spotkałem przypadkowo jedną z tych osób i ku wielkiemu memu zdziwieniu zauważyłem znaczne polepsze-



Indye. — Trędowaci z zakładów O. Müllera w Mangalorze przy pracy; podług fotografii przysłanej przez O. Müllera. (Zob. str. 311).

nie i dowiedziałem się, że spowodowane ono było trzech miesięczną kuracją według systemu Mattejgo. Wkrótce później druga mnie odwiedziła. Trąd był bez śladu ustąpił i to również po 4½ miesięcznej kuracji elektro-homeopatją. Widząc takie skutki, zdecydowałem się wejść w stosunki z O. Müllerem i spróbować nowej metody. I rzeczywiście zawodu nie doznałem, bo z wielkiem powodzeniem począłem leczyć choroby, dotychczas uporczywie opierające się wszelkim przepisom szkolnej medycyny; najbardziej zaś takie, jak reumatyzmy, astma, gorączka i t. p.«

O ile szczere i szlachetne jest wyznanie Dra Geoffa, o tyle pożałowania godnym jest, że tak wielu wykształconych i sumiennych lekarzy, zawsze z protekcyjnym uśmiechem i ruszając ramionami, odrzuca nowy ten wynalazek, nie chcąc spróbować skuteczności jego na-

wet tam, gdzie sami chcąc nie chcąc, uznać się muszą bezsilnymi. Rzecz pewna, że niegodnem człowieka poważnego jest wdawanie się w różnego rodzaju specyfiki, więcej obiecujące niż mogące dotrzymać, samem przechwalaniem się zdradzające oszustwo i szalbierstwo, ale do rzędu ich policzyć nie można elektro-homeopatyi, która po tem co powiedzieliśmy, wobec najstraszliwszej choroby, okazuje niezaprzeczoną i ogólnie uznawaną skuteczność.

Mniejsza o to, jaką drogą, byleby tylko cierpiące ludzkości ulżyć trochę w przeznaczonych jej od sprawiedliwości Bożej cierpieniach fizycznych, których całkowicie usunąć, zarówno jak od śmierci ją ochronić, żadna siła geniuszu ludzkiego nie potrafi.

Podobne co Dr Geoffe, wyznanie, zrobił wspomniany już Dr Samuel Kennedy w liście swym do Ojca Müllera:

»Nie potrzebuję podnosić, powiada on, że jedną z przyczyn podróży mojej do Indyi, było zbadanie na własne oczy zadziwiających skutków, osiągniętych przy leczeniu trędowatych metodą hr. Matteiego. Wieść o nich doszła do Anglii dwa lata temu, w tym samym czasie, kiedy ja sam środkami temi osiągnąłem nadzwyczaj pomysłne rezultaty. Przyjechałem zwiedzić wasz szpital w usposobieniu krytyka, zdecydowanego przedewszystkiem nie słuchać tego, co inni opowiadają, lecz patrzeć własnymi oczami i sądzić niezależnie

o prawdziwości szerzonych wieści i rozmiarach prowadzenia waszej kuracyi. To też z niecierpliwością zmierzam do waszego zakładu i natychmiast pospieszyłem przypatrzeć się trędowatym. Zastałem dwudziestu sześciu, uznanych za zarażonych trądem i umieszczonych w nowem zabudowaniu. Zbadałem dokładnie każdego z nich i znalazłem wielkie polepszenie, widoczne na pierwszy rzut oka u niektórych. Zbliżają się oni jeżeli nie do zupełnego wyzdrowienia, to przynajmniej do stanu bardzo pocieszającego, jeżeli się porówna z tem,



Afryka Zachodnia. (Wybrzeże Złote). — Widok na miasto Cape-Coast; podług fotografii. (Zob. str. 314).

czem byli dawniej. Nie znać już tego głupkowatego smutku, liczne wrzody wygojone, czułość w części odzyskana, zamieranie muszkułów ustępujące tworzeniu się powolnemu nowych tkanek, jednym słowem zastałem ich w takim stanie, że przekonawszy się o skuteczności lekarstw hr. Matteiego, wyrazić tu muszę nadzieję, że wkrótce system ten przyjęty zostanie w całych Indyach, a po 50 latach, byleby przepisy policyjne co do odosobnienia trędowatych zachowane były i wszystkie szpitale w lekarstwa elektro-homeopatyczne zaopatrzone, wolny będzie od tej strasznej plagi cały półwysep Indyjski, jak jest nim obecnie Anglia i będzie zapewne także i Norwegia«.

Oby się te życzenia szlachetnego i światłego angielskiego lekarza czemprędzej sprawdziły! Po tych wyznaniach doktorów Kennedy i Geoff'a publicznie w poważnych pismach uczynionych, wobec szczerego zainteresowania się władz angielskich i zadziwiająco wzrastającą popularnością elektro-homeopatii w Indyach, trudno nie podzielać nadziei, że przecież wkońcu położoną zostanie tama spustoszeniu, jakie trąd sprawiał między mieszkańcami krajów podzwrotnikowych. — To też z całego serca życzyć wypada, aby zakład O. Müllera rozwijał się coraz bardziej i zyskując na sławie, znajdował także jak najliczniejszych naśladowców.

Pomimo że obecny szpital w Mangalorze pomieścić może kilkadziesiąt osób, O. Müller myśli o nowych budynkach. W jednym ze swych listów pisze on, że naturalny rozwój zakładu wymaga osobnego pomieszczenia dla rekonwalescentów, osobnego dla dzieci rodziców trędowatych, u których trąd albo się jeszcze nie pokazał, albo słabo, wreszcie osobnego budynku dla Hindusów, gdzieby oni bez przeszkody wszystkie drobnostkowe przepisy kastowe zachować mogli.

Nie wątpimy, że publiczność indyjska, jak dotychczas tak i nadal szlachetnym zachodom O. Müllera przyjdzie z pieniężną pomocą, a to tem bardziej, że w dziele tak uciążliwym znalazł on bezinteresownych współpracowników w temże do niedawna tak obcym na wszelkie uczucie wyższem społeczeństwie.

Na rycinie (str. 309) obok O. Müllera z czapką w rękę stoi młody lekarz, dzielący z nim nadzór nad chorymi; młodzież malowniczo ugrupowana w oryginalnych swych zawojach i czapeczkach indyjskich, to wychowankowie miejscowego gimnazjum naszego zakonu, którzy w czasie wolnym, po większej części dla miłości Bożej, bez żadnej zapłaty pomagają O. Müllerowi w prowadzeniu apteki. Jeden z nich ukończywszy szkoły średnie, zdał bakkalauereat i choć należy do kasty wysokiej i byt materyalny ma całkiem zapewniony, woli chorym usługując, życie swoje spędzić w ukryciu przed światem, wśród ciągłego poświęcenia i zaparcia się siebie dla cierpiącej ludzkości, aby tylko zasłużyć na to błogosławieństwo Chrystusowe: »błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią«.

Szczęśliwi misyjonarze, którzy z radością patrzeć mogą na takie owoce swych ofiar i poświęcenia! Opuścili oni wszystko, aby iść na krańce ziemi, dobrze czyniąc ludziom w ciemnościach bałwochwalstwa chodzącym, wskazać im Niebo i wprowadzić na drogę do prawdziwego szczęścia. Za to Pan Bóg błogosławi ich pracy, dowodem tego są coraz częstsze przykłady pomiędzy Hindusami iście chrześcijańskiego heroizmu, coraz liczniejsze powołania zakonne i kapłańskie, dzięki którym Stolica święta przeprowadzić może swe usiłowania co do kleru miejscowego.

Niechże tedy Pan Bóg O. Müllerowi i całej jego pracy błogosławi, jak to czynił dotychczas, obdarzając przez ręce jego ludy indyjskie tak wielkiem doczesnem dobrodziejstwem i niech im otworzy oczy, aby zrozumiały, że Kościół Chrystusowy jedyny, zaspakajając wszystkie potrzeby duszy, zapewnia względne szczęście doczesne, a w każdym razie ma siłę i moc przynieść ulgę w każdym smutku i każdym cierpieniu.

X. A. M.

NA WYBRZEŻU ZŁOTEM.

(Afryka Zachodnia).

Podług dziennika O. Galland'a.

(Dokończenie).

Aby wyraźnie zarysować tło, na którym się snuje apostolska nasza działalność, musimy rzucić pobieżnie okiem na stosunki polityczne w krainie, powierzonej naszej pieczy. Jak wiadomo, Wybrzeże Złote jest kolonią angielską, której rząd spoczywa w rękę administratorów, wysyłanych tam przez królową Wielkiej Brytanii. Większa ich część składa się z wojskowych, lecz i cywilnych nie braknie, wogóle zaś sposób sprawowania przez nich władzy, odznacza się niezwykłą łagodnością.

Niejeden Europejczyk zmuszony płacić najrozmaitsze podatki, mógłby pozazdrościć losu Fantisom, którzy za swoje domy i pola nie płacą ani jednego centyma, mogą dowolnie polować i łapać ryby, albo też trudnić się jakimkolwiek rzemiosłem i handlem, nie potrzebując żadnych na to patentów, a co więcej, nie są nawet obowiązani do służby wojskowej. Jedyny dochód, jaki Wielka Brytania czerpie z tej kolonii, stanowi cło od zagranicznych towarów, tudzież pewna niewielka opłata od sprzedaży trunków.

Czy uwierzycie, że pomimo tak łagodnych rządów, murzyni żałują dotąd okresu, w którym Anglicy nie byli jeszcze panami Elminy? A jednak tak jest w istocie. Codziennie niemal krajowcy wspominają z żalem piękne minione chwile, gdy do miasta ich napływały towary ze wszystkich części świata, ponieważ cła jeszcze nie było.

— Ach — mawiają — biedna nasza Elmina chyli się ku upadkowi, handel zaś coraz bardziej obumiera. Gdzież się podziały błogie czasy holenderskiego panowania?!

Żal ten niekiedy do tak wysokiego posuwa się stopnia, że pewna część krajowców zaczyna nienawidzić Anglików. Nienawiść ta niczem nie da się usprawiedliwić, ponieważ władze angielskie postępują z godną podziwu łagodnością i ostrożnością, nienarzucając nawet krajowcom europejskiego prawodawstwa.

Wprawdzie w główniejszych miastach, to jest w Elminie i Cape-Coast, dawnej stolicy Złotego Wybrzeża (zob. str. 313), mieszka sędzia pokoju, rozstrzygający spory podług praw angielskich, krajowcy jednak mogą się zwracać w tym celu do własnych swych wodzów, którzy mają również prawo wydawania wyroku podług miejscowych zwyczajów.

Ciekawy zaiste jest widok takich wodzów, gdy zasiadłszy na dywanie lub macie, słuchają z niewyczerpaną cierpliwością długich wywodów swych klientów, murzyni bowiem odznaczają się przedewszystkiem za-

miłowaniem w krasomówstwie, którego niejeden adwokat europejski mógłby im pozazdrościć. Najcierpliwszy Europejczyk nie potrafiłby wysłuchać nawet połowy tych oracyj, którym towarzyszą rozmaite gesta. Niektóre ceremonie prawne, przypominają poniekąd średniowieczne tak zwane »Sądy Boże«.

Tak naprzykład sędzia każe niekiedy wypić oskarżonemu odwar z tej lub owej rośliny, jeżeli zaś winowajca wyrzuci to, co połknął przed chwilą, wówczas uznają go uroczyscie za niewinnego. Innym znowu razem każą mu jeść surowy ryż, mówiąc, że jeżeli zawinił, to ani jedna garstka ziarn ryżowych nie przejdzie przez jego gardło.

Nader kłopotliwą kwestyą dla europejskiego sędziego jest składanie przysięgi przez poważnione strony. Jeżeli są nimi protestanci, w takim razie całują protestancką biblię i to wystarcza. Natomiast katolicy nieraz z tego powodu w ogromnym znajdują się kłopotcie, chociaż zresztą sędziowie okazują się zwykle nader po-błażliwymi.

Pewnego razu jakiś katolik wezwany na świadka, nie chcąc ucałować biblij protestanckiej, użył następującego zwrotu. Oto kiedy mu podano tę książkę, popatrzał na nią przez chwilę i rzekł:

— Jak chcecie, abym ucałował księgę, którą już tyłu całowało murzynów? Czyż nie widzicie, jak jest brudną?

Potem wydobywszy z kieszeni swoją książkę do nabożeństwa, dodał:

— Przysięgam na tę książkę. Znam ją dobrze i wiem, że nie jest wcale gorsza od tamtej.

Naturalnie sędzia chętnie na to się zgodził.

Najwięcej atoli trudności przedstawia przysięga pogan, którzy bez wahania ucałują każdą biblię, jaką się im poda, nie przywiązując wszakże żadnej wagi do takiej przysięgi. Słyszałem, że pewien sędzia każe zawsze poganom przysięgać na fetysza, nie wiem jednak, ile jest w tem prawdy.

W każdym mieście murzyni dzielą się na kilka oddziałów, pomiędzy którymi nieraz do krwawej dochodzi walki. Tak naprzykład w r. 1885, podczas wspólnego pochodu wszystkich oddziałów z wódzami i sztandarami na czele, wywiązała się bójka, w której poległ jeden człowiek. Za morderstwo to powieszono niebawem ośmiu jego sprawców, poczem przez cały tydzień gromady kobiet wydawały na ulicach okropne jęki i okrzyki. Wogóle jednak podobne rozterki dość rzadko się zdarzają.

Oto, wśród jakiego otoczenia Pan Bóg kazał nam pracować dla dobra bliźnich. Praca ta polega przede-wszystkiem na kształceniu młodzieży, stanowiącej główną rękojmnię powodzenia misyi i pomyślności całej tej krainy. Działwa kształcąca się w szkole, musi uczęszczać na lekcye katechizmu; nie wiele zaś znajdzie się dzieci,

któreby poznawszy zasady świętej naszej wiary, nie zapragnęły Chrztu świętego i wkrótce go nie otrzymały.

Łatwo się domysleć, że misjonarze zakładając tę szkołę, nie zamierzali wcale kształcić swych uczniów na znakomitych uczonych, ale na dobrych i pobożnych chrześcijan. Jestto zresztą jeden z najskuteczniejszych i najpewniejszych środków ewangelizacyjnych.

Bezpłatna nauka w katolickiej szkole zwabiła naj-przód do nas połowę uczniów z zakładów weslejańskich. Później przyłączyła się do nich znaczna ilość dzieci, których rodzice nie chcieli lub nie mogli płacić prote-stantom za ich naukę.

Dzięki temu, szkoła nasza, założona zaledwie przed dwoma laty, w kwitnym już obecnie znajduje się stanie, liczy bowiem przeszło stu uczniów, czem ani weslejanie, ani protestanci pochłubić się nie mogą.

Wchodząc do rozmaitych klas spostrzegamy naj-przód, że nie wszystkie dzieci są zupełnie czarne, owszem na niektórych ławkach różnorodny kolor ich skóry tworzy prawdziwą mozaikę. Taką samą różnaitość daje się spostrzedz pod względem ubioru. Jeden chłopak ma za całe ubranie mniej lub więcej długą i czystą koszulę, drugi nosi tylko spodnie lub kamizelkę, której pierwotnej barwy niktby nie mógł odgadnąć. Większa atoli część uczniów ma na sobie kostium narodowy, to jest perkalową przepaskę dokoła bioder.

Obok syna bogatego kupca siedzi częstokroć syn dawnego jego niewolnika, obaj zaś ci chłopcy nazywają się braćmi i noszą też same nazwiska. Wszystkie dzieci uczą się angielskiego języka, przyjętego na całym Wy-brzeżu Złotem za język urzędowy. Trzej nauczyciele w niższych klasach są murzynami i należy przyznać, że daleko większy od białych przynoszą pożytek, gdyż dzięki gruntownej znajomości języka *fanti* mogą odrazu porozumieć się z najmłodszą dziatwą, która wstępując do szkoły, nie umie jeszcze ani słowa po angielsku.

W wyższych atoli klasach wykładają misjonarze wszystkie niemal przedmioty i mnie w ostatnich cza-sach powierzono niektóre wykłady. Nie troszczyłbym się o to wcale, gdyby te wykłady odbywały się w ję-zyku francuskim, ale niestety, moja znajomość języka Pope'go i Szekspira wiele bardzo pozostawia do życze-nia. Wprawdzie przed odjazdem do Złotego Wybrzeża uczęszczałem przez trzy lata po dwa razy w tygodniu na lekcye angielskiego, później zaś przeczytałem około 30 dzieł wierszem i prozą w tym języku, ale niestety, jeszcze wiele mi brakuje do biegłego mówienia po an-gielsku.

Drugą również trudną do zwalczenia przeszkodę stanowiła dla mnie nauka miejscowego języka *fanti*, czyli *mfantsi*, którego znajomość jest bezwarunkowo niezbędna dla każdego tutejszego misjonarza, pragną-cego wywiązać się należycie ze swego zadania. Język *fanti* nie jest wcale łatwy dla Europejczyka, gdyż nie

mając wyraźnych dźwięków, wymaga niezwykle bystrego słuchu.

Niejednokrotnie się zdarzało, że ponieważ każdy z nas inaczej wymawiał niektóre wyrazy, prosiliśmy więc pierwszego lepszego murzyna, aby nam je powtórzył, później zaś pragnąc się przekonać, czy naśladowujemy należycie jego wymowę, wychodziliśmy na ulicę i powtarzaliśmy te wyrazy jakimkolwiek napotkanemu przez nas dziecku.

Niestety, zdumienie, jakie się malowało na jego twarzy, gdyśmy zapytywali o znaczeniu tych słów, przekonywało nas niebawem, że nikt jeszcze z krajowców naszej mowy zrozumieć nie zdoła. Jednakowoż po kilku miesiącach gorliwej nauki wyćwiczyłem się już o tyle w języku *fanti*, że mogłem słuchać spowiedzi, a nawet z pomocą jednego z murzynów przełożyłem na ten język kilka rozdziałów katechizmu. Aby zaś dać czytelnikom jakiegokolwiek pojęcie o dziwacznej tej mowie, przytaczam w niej kilka najpospolitszych wyrazów, a mianowicie: *ena* — matka, *onuja* — brat lub siostra, *nantiwi* — krowa, *igiwan* — baran, *prako* — wieprz, *odan*, *eban*, *ifie* — dom, *asaze* — ziemia, *epo* — morze, *esor* — niebo.

Z początku mego pobytu w Elminie, życie nasze, to jest moje i O. Legeay płynęło cicho i spokojnie wpośród ciągłej pracy, urozmaiconej niekiedy przechadzką. Wstawaliśmy o piątej rano, to jest o godzinę przed wschodem słońca, poczem Msza święta i inne pobożne ćwiczenia zabierały nam czas aż do siódmej, to jest do śniadania. Po spożyciu skromnego posiłku, mogliśmy aż do wpół do dziesiątej rano, czyli do rozpoczęcia lekcyj, pracować sami, ucząc się angielskiego lub fantyjskiego języka. Potem rozpoczynały się lekcje, trwające aż do trzeciej popołudniu, po nich zaś mniej lub więcej długa następowała przechadzka. Wreszcie o ósmej wieczorem odmawialiśmy różaniec, w nabożeństwie zaś tem brało zawsze udział kilkadziesiąt dzieci z naszej szkoły.

W pierwszych dniach mego pobytu bawił mię bardzo widok tylu małych murzynków w najrozmaitszych strojach, przesuających poważnie paciorki różańca i odmawiających po angielsku *Zdrowaś Marya*. Niestety, kilkатыgodniowy ten spokój był jakby ciszą przed burzą, a raczej przed okropnem nieszczęściem, jakie nad naszą misją zawisło.

Od paru miesięcy O. Legeay miewał codziennie febrę, ale po przebyciu ataku brał kapelusze i laskę, mówiąc do mnie: »chodźmy«. Wychodziliśmy więc razem bądź na sąsiednie wzgórza, bądź też ku domowi, który wówczas właśnie budowano dla zakonnic. Czasami uszedłszy kilkaset kroków, biedny kapłan nagle się zatrzymywał, szepcząc stłumionym głosem:

— Ach, mój drogi, braknie mi już sił... Muszę

tu trochę odpocząć... Ktoby się tego po mnie spodziewał?!...

Wreszcie w ostatnią niedzielę swego życia, Ojciec Legeay udał się do Cape-Coastu, gdzie odprawił Mszę świętą, wygłosił kazanie i odegrał na harmonium kilka melodyj kościelnych. Za powrotem do Elminy zaskoczył go w połowie drogi gwałtowny uragan, połączony z ulewnym deszczem, tak, że biedny kapłan zmokły i zziębły wrócił do domu. To właśnie miało wtrącić go do grobu.

Podczas kilkadniowej choroby lekarz regularnie go odwiedzał, ostatniego zaś dnia, nie znajdując ani śladu gorączki, oświadczył, że niebezpieczeństwo już minęło.

— Chodzi tylko — rzekł — o przywrócenie mi sił i mam nadzieję, że najdalej pojutrze chory będzie się czuł zupełnie dobrze. Dziś wprowadzie jeszcze nie ma apetytu, można mu dać jednak kieliszek wina i parę jaj na miękko.

Słowa te były wypowiedziane o jedenastej rano, tegoż samego zaś dnia o dziesiątej wieczorem biedny mój towarzysz oddał duszę Bogu. Umarł jak żołnierz na posterunku, ale przed śmiercią przyjął jeszcze Sakrament Ostatniego Namaszczenia.

Mało zaiste misjonarzy pracowało tak gorliwie, jak on, na chwałę Bożą i pożytek swych bliźnich.

Pozostałem więc sam z jednym tylko Bratem, nie mogąc oprzeć się myśli, że jeźelibym umarł, wówczas nawet kapłan nie pokropiłby mego grobu święconą wodą.

Wkrótce jednak zdecydowałem się napisać do O. Michon'a, mieszkającego w Aksinie, prosząc, by niezwłocznie do mnie przyjechał, gdyż z powodu braku znajomości miejscowego języka, nie mogłem sam jeszcze wywiązać się należycie z obowiązków misjonarza.

Rzeczywiście, w parę tygodni po śmierci O. Legeay, O. Michon wylądował w Elminie i natychmiast wraz ze mną zabrał się do pracy. Ponieważ było to w listopadzie, musieliśmy więc zająć się przygotowaniem kilkunastu katechumenów do Chrztu świętego, którego zamierzaliśmy im udzielić w uroczystość Bożego Narodzenia. Nadto kilkoro ochrzczonych już dzieci przygotowywało się do pierwszej Komunii świętej, co nas nie mało kosztowało pracy.

Jakże sownie opłaciły się nam te trudy, gdy w pierwszy dzień Bożego Narodzenia dość liczne grono katechumenów przeszło uroczystość na łono katolickiego Kościoła, obok zaś nich kilku murzynków, ubranych białe od stóp do głowy, przystąpiło do Stołu Pańskiego z rozrzucającą pobożnością i skupieniem ducha!

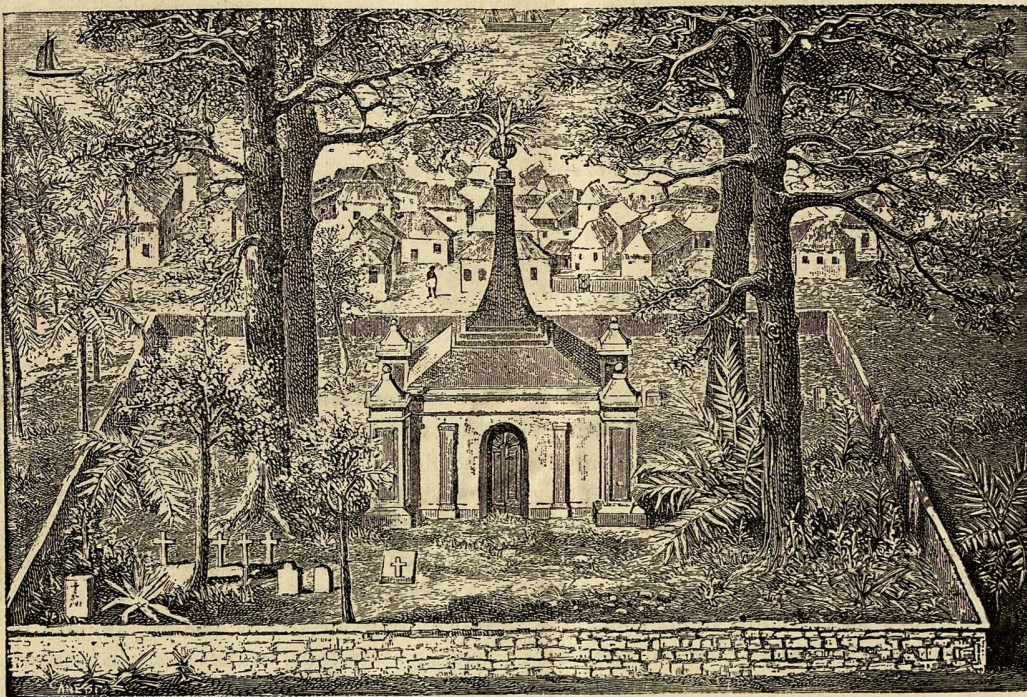
Nazajutrz nader miłą niespodziankę sprawiło nam przybycie OO. Moreau i Henneberry, oraz dwóch pierwszych zakonnic. O. Moreau, przełożony naszej misji, wracał właśnie z Europy, gdzie spędził kilka miesięcy dla poratowania zdrowia. Jestto jeden z najgorliwszych

i najwytrwalszych misjonarzy, jakich mi się spotkać zdarzyło. Jemu to właśnie zawdzięcza Elmina wyborną organizacją szkoły, w której dzielny ten kapłan był pierwszym nauczycielem. Towarzysz jego O. Henneberry jest również gorliwym pracownikiem w winnicy Pańskiej, wielka zaś biegłość w języku angielskim i niepospolity talent krasomówczy, ułatwiają mu znacznie jego zadanie.

Co do zakonnic, to przybycie ich w dziejach Elminy prawdziwą stanowiło erę. Nigdy jeszcze dotąd na Wybrzeżu Złotem nie widziano kobiet, które dobrowolnie nie wychodzą za mąż; jedynym zaś celem ich

życia, jest czynienie jak najwięcej dobrego nieszczęśliwym i wydziedziczonym bliźnim. Pożyteczna działalność Sióstr spotęgowała znacznie wpływy missyi.

Dotychczas misjonarze mogli się zajmować tylko chłopcami, nauka zaś dziewcząt leżała odłogiem. Z jaką więc radością dowiedziały się te ostatnie, że odtąd będą mogły również uczęszczać do szkoły, gdzie oprócz katechizmu, czytania, pisania i rachunków, zaczną się uczyć niebawem kroju i szycia, co w kraju nie mającym dotychczas ani jednej szwaczki, nader wielką może przynieść korzyść.



Afryka zachodnia. (Złote Wybrzeże). — Cmentarz w Elminie; podług fotografii.

Dziś jeszcze wyniki wspólnej naszej pracy bardzo skromnie się przedstawiają. Oprócz kilkunastu uczniów szkoły misyjnej, o których wyżej nadmieniałem, ochrzciłszy jeszcze w roku ubiegłym kilku więźniów na śmierć skazanych, oraz pobłogosławiliśmy parę małżeńskich związków.

Dotąd nader trudno jest skłonić Fantisów do zawarcia legalnego małżeństwa, a to dlatego, że podług miejscowych zwyczajów narzeczony musi dać posag swojej przyszłej żonie i wyprawić ucztę weselną, tak wielkie zaś koszta zniechęcają niejednego do tego związku.

Miejmy jednak nadzieję, że powoli wszystkie trudności dadzą się usunąć, w miarę zaś wzrastania wpływu misjonarzy, działalność ich coraz lepsze przyniesie owoce.

Niestety, nie da się usunąć jedna z najbardziej ujemnych stron Złotego Wybrzeża, to jest szkodliwość jego klimatu. Ofiarą jej padło już trzech tutejszych misjonarzy, a mianowicie Ojcowie: Murat, Miessen i Legeay, których zwłoki na misyjnym spoczywają cmentarzu.

Atoli opuszczone przez jednych posterunki, drudzy niebawem zajmują pracownicy, rozpoczynając ewangelizację biednych murzynów »w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego«, co w języku krajowców brzmi jak następuje: *Edja, eba, oni sunsun kronkron ur'edzin!*

KONIEC.

Missya Dominikańska w Brazylii.

(Dokończenie).

—o—o—o—

V.

Podróże w *sertao*. — Brazylijskie zwyczaje. — Pampero. — Porto-Nacional. — Działalność missyjna. — Indyanie. — Mali zbiegowie.

Mówiliśmy wyżej, że podróż z Uberaby do Gojazu jest nader uciążliwą i nużącą, jeżeli jednak porównamy z nią wędrówkę z Gójazu do Porto-Nacional, to wyda się nam ona prawdziwą rozkoszą.

Porto-Nacional leży o 1000 kilometrów od Gojazu, większa zaś część podróży odbywa się w krainie górzystej, nie mogącej dostarczyć podróżnikom ani schronienia, ani zapasów żywności. Każdy więc, wybierający się w tę drogę, musi zaopatrzyć się w dostateczną ilość artykułów spożywczych, które składają się zwykle z czarnej fasoli, zwanej *feijao*, ryżu i kilku funtów *carne secca*, czyli wołowego mięsa, pokrajanego w cienkie plasterki i wysuszonego na słońcu.

Integralną jednak część posiłku wszystkich podróżników w miejscowościach nawpół dzikich, zwanych pospolicie *sertao*, jest mąka z manioku, dodawana do wszelkich potraw i zastępująca chleb Brazylijczykom. Zresztą wędrowcy, nieprzyzwyczajeni do takiej spartańskiej kuchni, mogą jeszcze zabrać ze sobą trochę kawy, która nawet poniekąd zabezpiecza od żółtej febry, pochłaniającej corocznie tyle ofiar w tym kraju. Oprócz zapasów żywności i niewielkiego tłomoczka z najniezbędniejszymi przedmiotami, missyjonarz zabiera jeszcze ze sobą wszystkie aparata kościelne, aby mógł codziennie odprawiać Mszę świętą i odpłacać się w ten sposób chrześcijańskim rodzinom za okazaną sobie gościnność.

Wogóle ludność brazylijska jest niezwykle uprzejmą tak, że każdy cudzoziemiec może się spodziewać serdecznego przyjęcia zarówno w bogatym domu, jak i w najuboższej lepiance, której właściciel wychodzi natychmiast na spotkanie nieznanego sobie wędrowca, ofiarując cały dom na jego usługi.

Bardziej jeszcze serdecznem staje się przyjęcie, gdy się okaże, iż nowo przybyły jest missyjonarzem. Wówczas gospodarz domu wprowadza go uroczyście do mieszkania, dokąd się tłoczą nie tylko wszyscy członkowie rodziny, ale także i sąsiedzi, witając uprzejmie pożądanego gościa i obsypując go prawdziwym gradem pytań. Po krótkiej rozmowie missyjonarz odchodzi do wyznaczonego dla siebie pokoju i resztę wieczoru spędza na odmawianiu brewiarza, albo innych pobożnych ćwiczeniach. W całym domu tymczasem panuje ruch i wrzawa, gospodyni zaś dokłada wszelkich starań, aby jak najlepszą przyrządzić wieczerzę. Niekiedy jednak rzecz się ma odwrotnie; jeżeli bowiem zabraknie w domu

zasobów żywności, wówczas torebka missyjonarza musi ich dostarczyć. Wreszcie gospodarz ogłasza, że wieczerza już gotowa, dzieci zaś lub domownicy nakrywają do stołu, czyli właściwie mówiąc wyciągają z pomiędzy pakunków jak największą skrzynię, którą umieszczają zamiast stołu wpośrodku pokoju, obok zaś niej stawiają mniejszą skrzynkę, mającą służyć za fotel missyjonarzowi.

Przed zajęciem swego miejsca, kapłan zaprasza do uczty właściciela domu, ten zaś po wielu wzajemnych komplementach przyjmuje zaproszenie.

Należy przyznać, że Europejczyk z trudnością przyzwyczaja się do sposobu, w jaki we wszystkich brazylijskich domach, nie tylko ubogich, ale nawet bogatych, spożywa się posiłek. Główną tego przyczyną jest brak chleba, który tu zastępuje gruba wilgotna mąka z manioku. Mąką tą Brazylijczyk posypuje obficie wszystkie bez wyjątku potrawy, ponieważ zaś te ostatnie składają się przeważnie z sosów, łatwo więc się domyśleć, jaka różnobarwna mięszanina tworzy się u niego na talerzu. Nadto jeden i ten sam talerz służy do wszystkich potraw podczas obiadu i wieczerzy.

Długo istotnie potrzeba mieszkać wpośród brazylijskiego społeczeństwa, aby się przyzwyczaić do takiego trybu życia. Można rzec nawet, że chociaż Turcy nie używają widelców lub noży, większy jednak u nich pod tym względem panuje porządek, a co ważniejsze więcej ochędóstwa. Zresztą niepodobna zarzucać Brazylijczykom zupełnego braku schludności, gdyż myją się oni nader często i dbają o swą powierzchowność, ale w sposobie ich jedzenia przebijają się jeszcze wyraźnie nieokrzesane, nawpół barbarzyńskie nawyki, co nie powinno wcale dziwić nas w kraju, w którym prawdziwie wykształconej warstwy społeczeństwa nie było i dotąd jeszcze niema.

Po spożyciu skromnego posiłku kapłan wstaje od stołu i odmawia dziękczynną modlitwę, obecni zaś idą za jego przykładem. Potem przez czas niejaki toczy się pogadanka o trzodach, żniwach i t. p., albo też missyjonarz zwraca rozmowę na poważniejszy temat, starając się nakłonić tych ludzi do spowiedzi i Komunii świętej. Jeżeli obecni zechcą spełnić tę radę, w takim razie kapłan zasiada w kącie pokoju i spowiada ich kolejno, poczem odmówiwszy krótką modlitwę, wszyscy udają się na spoczynek.

Niestety, to, co w Europie nazywa się łóżkiem, na północ od Gojazu jest rzeczą nieznaną, zastępują je zaś zwykle *rede* czyli hamaki, zawieszone na słupach, albo dwie skrzynie stojące obok siebie. W ostatecznym zresztą razie można się przespać wybornie na skórze wołowej, rozpostartej na podłodze.

Nazajutrz rano wszyscy zaczynają się krzątać około przyozdobienia pokoju, zamienionego na prowizoryczną kaplicę, w której ma się odprawiać Msza święta. Tru-

dno sobie wyobrazić coś uboższego nad taką improwizowaną świątynię i chyba tylko stajenka betleemska może jej dorównać pod względem niedostatku. Zamiast stołu użyte zwykle bywają skrzynie, ustawione jedne na drugich. Jestto ołtarz. Jeżeli gospodyni posiada jaką chustkę kolorową, wówczas zawiesza ją na ścianie, przy której ołtarz się wznosi, tworząc mniej lub więcej efektowne draperye. Wreszcie na ołtarzu stawia się krucyfiks i dwie świece, przed nim zaś domownicy rozścielają na ziemi ogromną skórę wołową, zastępującą dywan. Niebawem do kapliczki schodzą się nie tylko mieszkańcy tej chaty, ale i wszyscy sąsiedzi, missyonarz zaś przywdzawszy strój kościelny, odprawia nabożeństwo. Dookoła niego klęczą pokornie ludzie prości, naiwni, nieokrzesani, ale modlitwa ich musi być miłą Panu Bogu, który ukochał tak bardzo ubogich i prostaczków.

Po Mszy świętej i spakowaniu tłumoków missyonarza, uprzejma gospoia zaprasza go na śniadanie, składające się zwykle z kawy lub *mate*, czyli paragwajskiej herbaty. Drzewo *Ilex mate* rośnie przeważnie na płaskowzgórzach lub stokach gór, tworząc niekiedy całe lasy. Na przestrzeni od Rio-Janeiro aż do Paragwaju przeszło 100.000 ludzi, po większej części Indian, utrzymuje się wyłącznie z handlu tą rośliną. Mianowicie Indianie zbierają *mate* w lasach, obcinając cienkie gałązki wraz z liśćmi, biali zaś kupują od nich za bezcen surowy ten produkt i wyrabiają z niego proszek, który później pod nazwą paragwajskiej herbaty, czyli *yerba mate* wywozi się do wszystkich krain Ameryki południowej, a nawet do Europy. Fabrykacja tej herbaty nie jest wcale tak skomplikowaną, jak naprzykład przyrządzanie herbaty chińskiej, ale w każdym razie wymaga pewnej wprawy. Chodzi mianowicie o to, aby proszek nie był zanadto miałki i oprócz liści zawierał jeszcze pewną ilość substancji drzewnej, dostarczanej przez cieniutkie gałązki. Jak liście, tak też i gałęzie suszą się oddzielnie na wolnym ogniu, rozcierają, a wreszcie mieszają ze sobą w pewnym, stale oznaczonym stosunku. Nakoniec robotnicy pakują proszek ten do paczek tak, jak chińską herbatę i manipulacja skończona.

Największej ilości *mate* dostarczają południowe zakątki prowincji Gojazu. Roczny wywóz paragwajskiej herbaty z tej prowincji wynosi przeciętnie około 16 milionów kilogramów, co przedstawia kwotę 7 do 8 milionów franków.

Sposób przyrządzania napoju z *mate* jest również prosty, jak i jego wyrób. W tym celu do kubka o bardzo wąskim otworze, wyrobionego z pewnego gatunku tytkwy, sypie się sporą garść herbacianego proszku i zalewa wrzącą wodą. Do picia z tego naczynia służy rurczka trzciniowa, zwana *bambilla*, na końcu której znajduje się cieniutkie sitko srebrne, lub uplecione z włókien roślinnych, stosownie do stopnia zamożności właściciela. Każdy, kto dłuższe w Brazylii musi odby-

wać wycieczki, przekonywa się niebawem o nieocenionej wartości tego orzeźwiającego, a zarazem pokrzepiającego napoju, do którego można wkrótce tak się przyzwyczaić, jak naprzykład do tytoniu, że się już nawet obejść bez niego niepodobna.

Po skromnem śniadaniu missyonarz musi myśleć o wyjeździe. Od samego już świtu służący jego, czyli *peon*, szuka na pastwisku koni lub mułów, co niezbyt łatwą jest rzeczą, ponieważ pastwisko nie bywa tam nigdy otoczone parkanem. Dlatego też wierzchowce i muły, korzystając z chwilowej swobody, rozbiegają się na wszystkie strony, niekiedy o kilka kilometrów od wioski.

Przebiegłe te zwierzęta pamiętają wybornie miejsce, w którym zdjęto z nich pakunki i wiedząc, że wkrótce znowu zostaną niemi objuczone, nie łatwo dają się schwytać.

Wreszcie o ósmej lub dziewiątej rano wszystko już gotowe jest do drogi i missyonarz żegna swych gospodarzy, ofiarując im w zamian za doznaną gościnność krzyżyk, medalik lub obrazek. Uściskawszy nakoniec po raz ostatni dłonie pocziwych tych ludzi, kapłan pomimo znużenia w dalszą puszcza się drogę.

W przeciągu dnia całego można przebyć przeciętnie od 30 do 40 kilometrów, bądź od razu, bądź też przerywając niekiedy jazdę porogodziennym wypoczynkiem. Miejscowości, przez które się przejeżdża, są prawie bezludne, ale dość malownicze, gdyż lasy i strumienie urozmaicają krajobraz. Niekiedy jednak samotne te obszary bywają widownią groźnych walk rozhukanego żywiołu. Zdarza się to wówczas, gdy niespodzianie wybuchnie na nich południowo-amerykańska burza *pampero*. Ten tylko kto zna *borę*, to jest wiatr powiewający na dalmackich wybrzeżach Adryatyku, może sobie utworzyć przybliżone pojęcie o tem, czym jest *pampero*, czyli wichur, który powiewa z argentyńskich pampasów.

Siła tego wiatru wszelkie przechodzi pojęcie, od prądu bowiem jego drżą najtrwalsze domy, drzwi i okna dzwonią, jak podczas trzęsienia ziemi, ludzie zaś nie śmieją się wówczas wychylić z mieszkania. Biada wtedy wędrowcowi zaskoczonemu niespodzianie zdala od ludzkich mieszkań, często bowiem gwałtowny popiew wichru porывa ludzi, jak piórka i rzuca nimi o skały i drzewa, zabijając na miejscu. Przerażone zwierzęta uciekają co sił starczy, lub też kładą się na ziemi i leżą dopóty, dopóki nie ucichnie uragan, trwający zwykle przez całe trzy doby. Wichrowi temu towarzyszy zawsze ulewny deszcz, który jak biczem smaga w twarz człowieka.

Szczęściem jednak, katastrofy takie zdarzają się nader rzadko i większą część podróży przebywa się spokojnie w okolicach nawpół dzikich, których posępną ciszę przerywa tylko wrzaskliwy krzyk papugi *peregruito*

lub złowieszcze krakanie kruka *urubu*, szybującego po nad karawaną.

Wreszcie po 25 lub 30 dniach takiej podróży, missyjonarz jadący z Gojazu, przybywa na lewy brzeg ogromnej rzeki i na przeciwległej stronie malownicze spostrzega miasteczko. Rzeką tą jest Tokantyn, miastem zaś Porto-Nacional rozrzucone w nieładzie na niskich wzgórzach, zwanych przez krajowców *Kuczilla* (*Cuchilla*). Przeprawiwszy się przez rzekę na niewielkiej łodzi, kapłan wędrowiec wylądowuje na przeciwległym brzegu i wdrapuje się na wzgórze, wkrótce zaś potem staje na dużym i pięknym placu w pośrodku którego wznosi się kościół. Tam po lewej stronie ciągnie się szereg domów, do drzwi ostatniego z nich puka nowoprzybyły i po chwili znajduje się już wśród swych współpracowników w klasztorze świętej Róży.

Budynek zajmowany obecnie przez missyjonarzy i noszący szumną nazwę klasztoru, nie różni się niczem nazewną od sąsiednich domów. Z początku nawet oprócz zakonników, mieszkało w nim wielu innych lokatorów, biedni zaś Ojcowie, jak dniem, tak nocą musieli słuchać wrzawy, do której wcale nie przywykli, lub być świadkami scen niemiłych. Wreszcie po wielu troskach i kłopotach urządzono dla Ojców cztery malutkie celki, dwaj zaś Bracia spijają w refektarzu albo rozmownicy.

Naturalnie tak niewygodny tryb życia nie będzie trwał do nieskończoności, tembardziej, że podczas ostatniej wizyty pasterskiej X. biskupa Duarte da-Silva postanowiono nabyć większy kawał gruntu i obszerniejsze budynki. Zamiast jednego, missyjonarze będą mieli wówczas trzy domy, które zapomocą galerij albo korytarzy postarają się złączyć w jedną całość. W prowizorycznym tem mieszkaniu znajdą daleko więcej wygod i będą mo-

gli cierpliwie oczekiwać chwili, w której Opatrzność udzieli im środków do zbudowania własnego lokalu, zastosowanego do potrzeb i wymagań zakonnego życia.

Obecnie głównem ich zatrudnieniem jest czuwanie nad restauracją Domu Bożego. Na miejscu skromnego parafialnego kościółka, który już chylił się ku upadkowi, missyjonarze postanowili zbudować piękną bazylikę o trzech nawach, mającą 40 metrów długości

na 20 metrów szerokości. Zamiar ten nie łatwo da się urzeczywistnić, ponieważ cała diecezya odznacza się ubóstwem, a nawet należy wątpić, czy znajdzie się w niej ktokolwiek, zdolny nakreślić plan tak wspaniałej świątyni i kierować jego wykonaniem. Biedni więc missyjonarze muszą sami zostać architektami i objąć kierunek tak trudnego przedsięwzięcia.

Należy jednak przyznać, że ludność miejscowa ochoczo spieszy im z pomocą, bądź za pośrednictwem skromnych datków, bądź też ofiarując bezinteresownie swe usługi przy przewożeniu materiałów budowlanych lub w innych przygotowawczych zajęciach, nie wymagających fachowego uzdolnienia.

Co się tyczy apostolskiej pracy, to oprócz missyj parafialnych, które missyjonarze z Porto-Nacional, podobnie jak ich bracia z Uberaby i Gojazu, urządzają od

czasu do czasu w wyznaczonym sobie powiecie, mają oni jeszcze własny, odrębny zakres działania. Oto, ponieważ cała północna część diecezyi zupełnie pozbawiona jest kapłanów, X. Biskup przeto musiał powierzyć missyjonarzom duchowną pieczę nad sześciu parafiami, a między innymi nad parafią w Porto-Nacional.

Niestety, wszystkie te parafie na tak ogromnej rozrzucone są przestrzeni, że do niektórych najodleglejszych z nich, missyjonarze zaledwie parę razy w przeciągu roku na dni kilka mogą zawitać.



Afryka zachodnia. — Typ niewiasty ze Złotego Wybrzeża; według fotografii.

Chociaż posługi duchowne oddawane mieszkańcom Porto-Nacional i missye urządzone na prowincyi, wymagają wiele pracy i czasu, gorliwi jednak kapłani nie poprzestając na tem, podjęli się jeszcze dobrowolnie obowiązków nauczycieli i założyli kolegium pod wezwaniem św. Tomasza z Akwinu. Do zakładu tego obecnie uczęszcza 40 uczniów. Dozór nad młodzieżą szkolną i wykłady elementarne powierzono profesorowi świeckiemu, opłacanemu przez kasę klasztorną, lekcye

zaś historii, geografii, arytmetyki i t. p. objęli sami Ojcowie. Wkrótce nawet ma się tam rozpocząć nauka greckiego i łacińskiego języka; w niedalekiej zaś przyszłości pomiędzy dziećmi, siedzącymi dziś na szkolnej ławie w Porto-Nacional, znajdzie się może kilku, którzy w kapłańskiej lub zakonnej szacie będą wiedli dalej dzieło rozpoczęte przez swych wychowawców.

Wreszcie jedno jeszcze pole działalności, a mianowicie ewangelizacya dzikich posiada dla misyonarzy



Brazylia. — Widok na Aconquija; podług rysunku.

taką siłę atrakcyjną, jak magnes względem żelaza. Gdy X. biskup Gonzalvez zaprosił Dominikanów do swej diecezji, ci ostatni przyjęli jego propozycję z nadzieją, iż znajdą tam nie tylko ludność chrześcijańską, ale także liczne plemiona indyjskie, pogrążone jeszcze w ciemnościach poganizmu. Niestety, nadzieja ta tylko w małej części mogła się ziścić. Na całym prawie terytorium prowincji Gojaz rozgościła się już pseudo-ucywilizowana rasa, która od czterech wieków przedziera się coraz dalej w głąb kraju, wypierając lub tępiąc nieszczęśliwych tubylców. Wprawdzie w pierwszej połowie bieżącego stulecia rząd brazylijski starał się niejednokrotnie zachęcić Indyan do kolonizacyi, ale tak

niezręcznie zabrał się do dzieła, że usiłowania jego wręcz odrębny niż się spodziewano wywarły skutek. Oddawna też zaniechano tego zamiaru, gdyż przestano już wierzyć w jego urzeczywistnienie, ale i dotychczas jeszcze istnieją ślady indyjskich kolonij, tem więcej zasługujące na uwagę, że zdołały się utrzymać pomiędzy osadami zaludnionymi przez Brazylijczyków lub europejskich kolonistów.

Z początku Indyanom, werbowanym zapomocą pieniędzy i wódki czyli *kaszasu*, lub też chwytanym w niewolę podczas wojennych wypraw, wyznaczył rząd brazylijski najlepsze grunta, zbudował domy, dostarczył bydła, słowem ogromne w tym celu poniósł koszt.

Dziś wszystko prawie to znikło, z powodu bowiem surowości, doznawanej od komisarzy rządowych, większa część indyjskich kolonistów uciekła znowu w głąb lasów, reszta zaś wymarła z suchot, lub rozmaitych epidemicznych chorób. Nieliczna tylko garstka Indyan, jacy się dali nałamać do osiadłego życia, pozostała na gruncie, gdzie uprawia banany, ignamy, maniok, ale trzód już nie trzyma i w okropnej żyje nędzy.

Wreszcie niektórzy Indyanie, gdy im głód dokuczy, wynajmują się niekiedy do pracy u europejskich kolonistów, ale pracują leniwie i nie długo, bo natychmiast po otrzymaniu kilku milrejsów na *kaszas*, raczą się nią dowoli i pijani włączają się po lasach.

Kaszas czyli wódka, wyrabiana z trzciny cukrowej, to najgroźniejsze narzędzie zguby nieszczęśliwych tych ludzi. Rząd brazylijski dotychczas nie może, czy też nie chce tego zrozumieć, zamiast położyć więc tamę takiemu stanowi rzeczy, popiera niegodziwych spekulantów, dostarczających krajowcom tej trucizny.

Ze smutkiem też wyznać należy, że zupełne zniknięcie Indyan z obrębu brazylijskiego terytorium, a przynajmniej z prowincyj gęściej zaludnionych przez Brazylijczyków lub cudzoziemskich kolonistów, jest dziś już tylko kwestyą czasu. Dotychczas jednak w północnej części dycezyi gojaskiej utrzymały się jeszcze trzy dzikie plemiona Szerentes, Karahos i Apinages, które misjonarze z Porto Nacional pragną nawrócić i ucywilizować. Nie łatwe to wszakże zadanie, tembardziej, że niepodobna zaniechać dla niego pracy około dusz chrześcijańskich. Z tego więc powodu pomimo najszczerzej chęci, dla braku większej ilości misjonarzy, Ojcowie nie mogli dotąd rozszerzyć zakresu apostolskiej swej działalności, chociaż nie pomijają żadnej sposobności wyświadczenia biednym dzikim jakiegokolwiek dobrodziejstwa.

Tak naprzykład podczas wycieczki dokonanej przed dwoma laty przez misjonarzy w celu zaznajomienia się z Indyanami, ci ostatni powierzyli ich opiece trzech kilkunastoletnich chłopaków, którzy przybyli wraz z Ojcami do Porto-Nacional. Nie łatwo wprawdzie było ich umieścić w szczupłym i ubogim klasztoru, wyżywienie zaś trzech nowych przybyszów znaczyło również nie mało w skromnym misyjnym budżecie, ale pomocą wielu ofiar i poświęceń wszystkiemu jakoś zaradzić zdołano. Chociaż misjonarze nie mogą poświęcić swym wychowañcom tyle czasu, ileby pragnęli, wyniki jednak otrzymane dotychczas, nader korzystnie się przedstawiają. W przeciągu bardzo krótkiego czasu trzech mali Indyanie nauczyli się modlitw i katechizmu, poczem udzielono im Chrztu świętego, oraz pozwolono przystąpić do pierwszej Komunii. Nie poprzestając na tem, Ojcowie wyuczyli ich czytać i pisać, pocziwi zaś dzicy przywiązali się tak serdecznie do swych opiekunów, że kiedy na początku roku ubiegłego do Porto-Nacional przybyli rodzice, aby ich zabrać ze sobą, biedne dzieci

nie chciały nawet słyszeć o rozłączeniu się z misjonarzami i powrocie do swoich lasów. Trzeba więc było przemocą wyprowadzić je z klasztoru i przez dni kilka nie odstępować ani na chwilę, w przeciwnym bowiem razie wszyscy trzech chłopcy z pewnością byliby uciekli.

Malutka ta próba ucywilizowania dzikich, która tak pomyślnym uwieńczyła się skutkiem, zachęca misjonarzy do rozwinięcia na szerszą skalę swej działalności w tym kierunku. Nie mogąc na razie zamieszkać stale wpośród Indyan, Ojcowie pragną przynajmniej wychowywać u siebie dziatwę indyjską, którąby może rodzice zechcieli powierzyć ich pieczy. Ponieważ zaś w ostatnich czasach missya nową nabyła lokal, dom więc zamieszkiwany poprzednio przez misjonarzy, musi stać odtąd pustkami. Tam przeto można będzie pomieścić biedne dzieci, jakie zechcą się udać pod opiekę missyi. Nie zaniedbując zatem dotychczasowego pola działalności, Ojcowie zajmą się jednocześnie nie tylko oświeceniem małych dzikich w zasadach wiary świętej, ale także kształceniem ich na pożytecznych członków cywilizowanego społeczeństwa.

Największą niestety trudność stanowi brak funduszków niezbędnych do urządzenia nowego zakładu i zaspokojenia materialnych potrzeb jego wychowañców. Miejmy jednak nadzieję, że Opatrzność Boża, która żywi ptaki niebieskie i lilije polne w ich piękne przyodziewa szaty, nie odmówi także biednym dzieciom lasów tej manny duchowej, jaką jest chrześcijańskie wychowanie. Może też za łaską Boską szlachetne dłonie i wspaniałomyślne serca, pragnące rozkrzewienia Królestwa Chrystusowego na ziemi, zechcą pospieszyć z pomocą gorliwym lecz ubogim misjonarzom z Uberaby, Gojazu i Porto-Nacional!

KONIEC.

WYSPA HAITI.

—o—o—

Podług mniemania niektórych historyków, pierwszą wyspą, na której Krzysztof Kolumb zatknął swój sztandar, była Haiti, zamieszkiwana przez Karaibów i nazwana później Hispaniolą. Dotąd jednak zdania bardzo są podzielone i różnorodne w tej mierze istnieją jeszcze wersje. To tylko nie da się zaprzeczyć, że Haiti, której nazwa w języku karaibskim oznacza »wyspę górzystą«, jest po Kubie największą z pomiędzy wysp Antylskich, a pod względem łagodności klimatu, tudzież niezwykłej żyzności gruntu, przewyższa znacznie swe sąsiadki.

Obecnie wyspa Haiti dzieli się na dwa państewka zupełnie od siebie odrębne, a mianowicie rzeczpospolitą San Domingo na wschodzie i rzeczpospolitą Haiti na zachodzie. Pierwsza z nich ma około 42.000 klm. kwadr. obszaru, lecz jest bardzo uboga i mało zaludniona, gdyż

na jeden kilometr kwadratowy, wypada zaledwie 11 mieszkańców. Natomiast rzeczpospolita Haiti, chociaż znacznie mniejsza pod względem powierzchni, wynoszącej zaledwie 29.000 kilometrów kwadr., wynagradza to jednak wybornem położeniem ze strategicznego i marnarskiego punktu widzenia, jak również dość liczną ludnością, na jeden bowiem kilometr kwadr. ma przeciętnie 36 mieszkańców.

Po odkryciu Haiti przez Kolumba w r. 1492 należała ona przez czas niejaki do Hiszpanii, w roku zaś 1630 przybyli tam z Saint Chistophe Francuzi i osiedli w północnej części tej wyspy. W r. 1697 Hiszpania zgodziła się uroczyscie na okupację francuską, poczem wielu młodych, energicznych wojskowych wylądowało na Haiti, szukając tam awanturniczych przygód i zaczęło zakładać plantacje kawy oraz trzciny cukrowej, które stały się niebawem źródłem olbrzymich dochodów. Nowa kolonia, oznaczona nazwą San Domingo, kroczyła tak szybko i pomyślnie na drodze swego rozwoju, że w r. 1789 posiadała już 7800 ogromnych plantacji, tudzież około 600.000 mieszkańców, pomiędzy którymi liczono przeszło 100.000 białych, po większej części zamożnych plantatorów.

Niestety, przy schyłku XVIII stulecia, skutkiem antagonizmu, jaki istniał już oddawna pomiędzy rasą białą, reprezentowaną przez kolonistów, a rasą czarną, rekrutującą się z murzynów, przywożonych z Afryki w celu uprawiania plantacji, wybuchło okropne powstanie zbuntowanych niewolników, na czele których stanął murzyn Toussaint Bréda, przezwany Louverture. Zacięta walka o niepodległość, toczona z różnem szczęściem przez murzynów w przeciągu lat dwudziestu, stanowi ciekawy obraz fanatyzmu i odwagi, okrucieństwa i bohaterstwa, barbarzyństwa i poświęcenia. Rzućmy więc okiem na główne epizody tej antylskiej epopei.

W r. 1791 hordy murzyńskie pod dowództwem Toussaint Louverture'a, Buckmann'a i Biasson'a, wymordowały bez litości białych kolonistów, rzeź ta zaś dała hasło do ogólnego powstania niewolników. Po zniesieniu niewolnictwa przez rząd francuski w r. 1794, murzyński rokosz szersze jeszcze i groźniejsze, niż przedtem, przybrał rozmiary. Koloniści opuszczeni przez Francję, wezwali na pomoc Anglików i Hiszpanów, poczem dzięki tym sprzymierzeńcom odzyskali pewną część terytorium Haiti. W roku następnym Hiszpania na mocy bazylejskiego traktatu, ustąpiła Francji całą tę wyspę, widząc zaś to Toussaint-Louverture połączył się z Francuzami i po długiej walce wypędził wojska angielskie. Atoli otrzymawszy później godność dyktatora, zaczął dążyć do osobistych, nader ambitnych celów i ogłosił konstytucję, w której zajął nieprzyjazne względem Francji stanowisko. Dlatego też w r. 1802 generał Leclerc, szwagier Bonapartego zorganizował wyprawę w celu odzyskania Haiti.

Chociaż jednak Toussaint-Louverture dostał się w niewolę i został wysłany do Francji, wkrótce atoli jego porucznik, murzyn Jakób Dessalines, podniósł znowu chorągiew buntu i korzystając z żółtej febry, która zaczęła dziesiątkować armię francuską, zdołał pomimo rozpaczliwego oporu generała Rochambeau, następcy Leclerc'a, stać się panem całej zachodniej części wyspy.

Nie poprzestając na tem, ogłosił on uroczyscie niepodległość nowego swego państwa, przybrał tytuł cesarza pod imieniem Jakóba I, i zniósłszy późniejsze miano wyspy San Domingo, przywrócił jej dawną karaibską nazwę Haiti. Gdy w parę lat później zamordowano go w Port au Prince, wówczas nieliczni żołnierze z francuskiego ekspedycyjnego oddziału odpłynęli do Europy. Po zgonie Dessalines'a Haiti rozpadła się na dwa państwa. Na północy utworzyło się królestwo, rządzone przez murzyna Krzysztofa, na południu zaś rzeczpospolita, której pierwszym prezydentem był mulat Petion.

W r. 1809 ostatni Francuzi musieli opuścić wschodnią część wyspy, gdzie aż do tego czasu utrzymać się zdołali, w roku zaś 1825 Karol X uznał oficjalnie nową murzyńską rzeczpospolitą.

Od tej chwili aż do dnia dzisiejszego rządy wyspy Haiti republikański nosiły charakter. Wyjątek w tej mierze stanowi jedynie dziesięciolecie od 1849 do 1858 r., w którym całą tą wyspą rządził murzyn, Soulouque, pod imieniem cesarza Faustyna I. Później krzesło prezydenta zajmowali kolejno przedstawiciele rozmaitych stronnictw, trzymając się raczej autokratycznych, niżeli konstytucyjnych zasad. Wyniesieniu ich do tej godności towarzyszyły częstokroć rewolucje, tudzież polityczne lub osobiste zemsty, wywierane na nieszczęśliwych przeciwnikach. Zresztą czyny ich i losy nader podrzędne posiadają znaczenie.

Widzieliśmy żywioł murzyński, przywieziony z Afryki przez kolonistów i traktowany jak bydło, później zaś zapomocą krwawej, lecz bohaterskiej walki, odzyskujący swoją wolność. Teraz więc przypatrzmy się ogólnej charakterystyce kraju, który tej walki był widownią, oraz jego geograficznemu położeniu, handlowi, przemysłowi, zwyczajom i administracji.

Każdy kto rzuci okiem na mapę Haiti, zauważy przedewszystkiem fantastyczne wyębieńie ich brzegów i niezwykle wypukłość całego gruntu. Od północnych krańców tej wyspy aż do Zakmelu (Jacmel) ciągnie się długi szereg przylądków, półwyspów, przystani, zatok i wysepek. Wylądowawszy zaś w jakimkolwiek zakątku Haiti, wędrowiec w niewielkiej odległości od brzegu spostrzeży łagodne górskie stoki, których szczyty nader znacznej niekiedy dosięgają wysokości. — Najwyższym z nich jest cypel, zwany Pic-du-Cibao, a wznoszący się na 2400 metrów po nad powierzchnię morza. Pomiedzy czterema góorskimi łańcuchami, jakie się ciągną

ze wschodu na zachód, leżą żyzne równiny, przetrzniete siecią spławnych rzek Artibonity, Wielkiego Jagu i Juny, których liczne dopływy przyczyniają się niezmiernie do użyznienia gruntu.

Haiti leży w strefie tak zwanych pasatów. Codziennie łagodny wietrzyk powiewający od morza odświeża atmosferę. później zaś zaczyna powiewać silniejszy nieco wiatr od strony gór, które przerzynają całą wyspę w rozmaitych kierunkach. Łatwo się domyśleć wyniku tej naturalnej wentylacji, dzięki której nawet w najgorętsze dni lata, temperatura nie przechodzi nigdy 37° Cels. W przeciągu całego roku długość dnia równą jest długości nocy, pomiędzy zaś porami roku nie ma tak wybitnej, jak w innych krajach, różnicy. Jednak w zimie trwającej od grudnia aż do maja, daje się spostrzegać pewne obniżenie temperatury, która wynosi przeciętnie od 22° do 28° Cels. W lecie gwałtowne, chociaż krótkie burze oczyszczają znacznie atmosferę, nie wyrządzając przytem wielkiego spustoszenia; do Haiti bowiem nie dochodzą nigdy cyklony, szalejące nader często na innych wyspach Antylskich.

Liczne gorące źródła, nasycone siarką, świadczą o wulkanicznym pochodzeniu tej wyspy. Niektórzy nawet twierdzą, że wyniosła stożkowata góra *Morne de la Sille*, dotychczas jeszcze nie zbadana należycie, była niegdyś nader czynnym i groźnym wulkanem.

W r. 1842 na przylądku haickim dało się uczuć silne trzęsienie ziemi, ponieważ atoli podziemne takie undulacje nie powtarzają się systematycznie, jak w innych krajach leżących w pobliżu wulkanów, można się więc spodziewać, że kataklizmy tego rodzaju nie rychło się powtórzą.

Klimat wyspy Haiti jest nader trudny do określenia, a nawet rzec można, że uprzywilejowana ta kraina posiada wszystkie klimaty, jakie tylko na kuli ziemskiej istnieją. Na wybrzeżu panuje zawsze podrównikowa temperatura, która o kilka już mil ztamtąd przechodzi stopniowo w podzwrotnikową, a nawet umiarkowaną.

W przeciągu kilkodniowej podróży, można tam, zwłaszcza w zimie, poznać najrozmaitsze strefy. Nieraz się zdarza, że gdy jednego dnia podróźny, ubrany w kostium z *pyamy*, czyli lekkiego cienkiego płótna miejscowego wyrobu, spoczywa na macie w cieniu olbrzymich palm i bananów, to nazajutrz wdrapawszy się na wyższe płaskowzgórze, znajduje tam europejską florę i drzewa iglaste, północnym właściwe krainom, a wreszcie dalej nieco spotyka już śniegi i lody, oraz pocztuje się za szczęśliwego, jeżeli znajdzie schronienie w jakimś ciepłym i szczelnie zamkniętym domu.

Taka różnaitość temperatury pozwala nam zrozumieć przyczynę niezwykłego bogactwa płodów, wznoszących na tej wyspie. Główne źródło dobrobytu mieszkańców stanowi kawa, która przy niewielkiej uprawie wydaje ziarna, uważane za najlepsze na całych

Antyllach. Dalej następują drzewa kampszowe, gajkowe, mahoniowe, hebanowe, gumowe, pomarańczowe, cytrynowe, bambusy, sosny, dęby korkowe, rozmaite gatunki palm, trzcina cukrowa, kakao, bawełna, tytoń, szafran, indygo, ananasy, banany, pistacje, maniok, pataty, ryż, tudzież takie mnóstwo rozmaitych owoców i jarzyn, że niepodobna prawie ich wyliczyć.

Na bujnych, rozległych pastwiskach pasą się stada wołów, koni, krów, oraz liczne trzody owiec; morze i rzeki dostarczają krajowcom ryb, raków, ostryg i żółwi; góry i lasy obfitują w zwierzynę; w powietrzu zaś świergocą tysiące najrozmaitszych ptaków. Natomiast zwierzęta drapieżne lub szkodliwe, są w Haiti zupełnie nieznanne, a nadto nie ma tam nawet żadnych jadowitych węży, które tak często na innych wyspach Antylskich się napotykają. Jedyną ciemną plamę na tle tego obrazu, stanowią olbrzymie pająki, skorpiony, stonogi, moskity i inne również nie mile owady.

Wreszcie w łonie ziemi znajduje się tam złoto, srebro, miedź, ołów, żelazo, marmur, węgiel kamienny, kryształ górski, gips, okra, spat, feldspat, saletra, agat, łupek, krzem, a nadto w rozmaitych zakątkach wyspy płyną bardzo obfite ciepłe źródła mineralne.

Jeżeli jednak dzieło natury tak pięknie i wspaniale się przedstawia, to dzieło ręki ludzkiej mniej korzystne, niestety, wywiera wrażenie.

Ze względu na niezwykłą żyzność gruntu, wyborne geograficzne położenie, oraz znaczną ilość rzek, ułatwiających komunikację, możnaby sądzić, że błogosławiona ta kraina stanęła już oddawna na wysokim stopniu dobrobytu i cywilizacji. Niestety, dotąd jeszcze istnieje w tej mierze mnóstwo luk, które chyba nie rychło dadzą się zapełnić. Tak na przykład z wyjątkiem miast i ich najbliższych okolic, cała Haiti nie posiada żadnych dróg, jedyne zaś arterie komunikacyjne stanowią wąskie i niewygodne ścieżki. Koleje żelazne również tam jeszcze nie istnieją, w roku zaś 1885 depesze telegraficzne z Haiti musiano pocztą wysyłać do Jamajki, ztamtąd zaś dopiero wyprawiano je w zwykły sposób. Teraz jednak, dzięki jakiemuś zagranicznemu towarzystwu, drut telegraficzny połączył już Haiti z innymi Antylskimi wyspami.

Dzięki wybornym portom i przystaniom, handel morski z innymi krajami dosięgnął już nader wysokiego stopnia rozwoju. Głównem jego ogniskiem jest miasto Port au Prince, w którym wyroby i surowe produkty tej wyspy zostają ładowane na łodzie, przewożące je do statków; transport zaś ten dostarcza zarobku znacznej ilości ubogich krajowców.

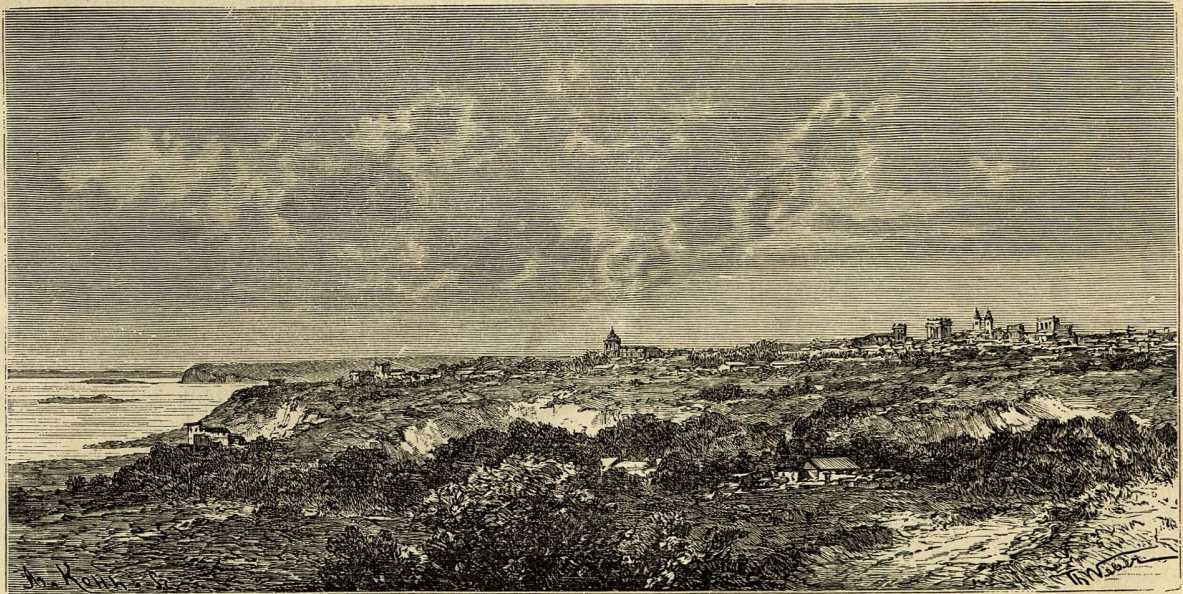
Najbardziej ożywiony handel prowadzi Haiti ze Stanami Zjednoczonymi, Anglią, Francją i Niemcami, wysyłając do nich kawę, drzewo kampszowe i gajkowe, kakao, bawełnę, skóry wołowe, mahoń, miód, rum, cukier, skórkę pomarańczową, cynę, miedź, ołów,

wosk, szafran, oraz rozmaite owoce i jarzyny. Natomiast Stany Zjednoczone dostarczają tej wyspie rozmaitych artykułów żywności, jak naprzykład solonej wieprzowiny, słoniny, masła, śledzi, tranu, jak również sprzętów domowych, materiałów budowlanych, tudzież niebieskich bawełnianych tkanin, bardzo poszukiwanych przez wyspiarzy. Francya wysyła corocznie ogromne zapasy gotowej odzieży, obóvia, wyprawnych skór baranich, przedmiotów galanterijnych, zabawek, książek, papieru, win, likierów i perfum, jak również dużo machin parowych i rozmaitych narzędzi. Anglia dostarcza mieszkańcom Haiti perkalu, tkanin oksfordzkich, naczyń fajansowych i porcelanowych, noży, chustek i t. p. Wreszcie Niemcy zaopatrują tę wyspę w odzież wprawdzie

znacznie gorszą, ale tańszą od francuskiej, żelazo w sztabach, rozmaite metalowe wyroby, a przedewszystkiem zasila jej mieszkańców całemi tysiącami beczek gambrynusowego nektaru.

Przemysł na wyspie Haiti na dość niskim jeszcze stoi stopniu, główną zaś jego gałąź stanowi przyrządzanie kawy. Tu i owdzie atoli można tam napotkać kuźnie, cegielnie, huty, cukrownie, dystylarnie, chociaż wszystkie te fabryki jeszcze w bardzo pierwotnym znajdują się stanie. Nadto krajowcy wyrabiają blachę, mydło, liny, baty ze skóry lub tkanki roślinnej, meble gięte, ładne laski, likieri owocowe i słynne konfitury¹⁾.

Najważniejszą jednostką monetarną są srebrne *gurdy*, których waluta wynosi przeciętnie 1 złr. 50 cent. w. a.



Ameryka południowa. (Brazylia). — Miasto Parana; podług rysunku.

Co do ludności Haiti, to cyfra białych jej obywateli jest obecnie bardzo szczupłą. Wielu nawet cudzoziemców przybyłych z Martyniki, Guadelupy, Jamajki, wyspy św. Tomasza i Kuby, a trudniących się handlem lub przemysłem, odznacza się ciemnym kolorem skóry i po większej części należy do mulatów.

Pomimo surowych przepisów konstytucyi, które zabraniają cudzoziemcom nabywania nieruchomości, a nawet dłuższego pobytu na wyspie, biali dotąd jeszcze wielkim cieszą się tam szacunkiem, zwłaszcza u gminu, nie zdającego sobie jasno sprawy z klasyfikacji społecznej. Każdy bez wyjątku biały, choćby nawet lokaj jakiegoś podróżnego, oznaczany bywa przez krajowców tytułem pana. Jeżeli zaś nosi białą czapkę płócienną, stanowiącą w gorącym klimacie najlepsze okrycie głowy, wówczas wszyscy spotykani przezeń wyspiarze, witają go z głębokim szacunkiem. Szkoda tylko, że większa

część europejskich awanturników, nawiedzających tę wyspę, nadużywa swojego wpływu, oszukując lub wyzyskując łatwowiernych krajowców.

Coraz też rzadsi stają się w Haiti murzyni czystej krwi. Niektórzy z nich, reprezentujący miejscową arystokrację, utrzymują, że pochodzą w prostej linii od niewolników niegdyś z Afryki przywiezionych, i że nigdy

¹⁾ Ogólna kwota obrotu handlowego z r. 1890 i 1891 przedstawia się w następujący sposób:

	Wartość towarów	
	przywiezionych	wywiezionych
Stany Zjednoczone . . .	6,454.601 dol.	2,209.292 dol.
Francya	917.994 "	8,437.500 "
Niemcy	1,930.713 }	3,518.987 "
Anglia	662.191 }	
Inne kraje	95.480 }	
	10,060.979 dol.	14,165.779 dol.

przodkowie ich nie zawierali związków małżeńskich z członkami innej rasy. W każdym razie rysy ich twarzy, a nawet kolor skóry różni się już znacznie od współczesnego afrykańskiego typu. Wogóle rzecz można, że ludność Haiti dzieli się na dwie główne klasy: murzynów, stanowiących właściwie żywioł narodowy, chociaż w ich żyłach płynie zawsze trochę krwi obcej, i mulatów o cerze znacznie jaśniejszej, którzy po większej części są potomkami dawnych, wydziedziczonych kolonistów. Cera wielu z nich nie różni się nawet wcale od koloru skóry Europejczyków, kobiety zaś zwłaszcza odznaczają się niepospolitą pięknnością, każącą niemal zapominać o ich wadach, to jest lenistwie, niedbałości i bardzo niskim umysłowym poziomie.

Chociaż jednak pod względem delikatności skóry, wysmukłości i zgrabności swych postaci, oraz kształtnej budowy ciała, mulaci nie ustępują wcale Europejczykom, mają oni jednak pewną charakterystyczną cechę, która na pierwszy rzut oka rozpoznać ich pozwala. Oto najbielszy nawet mulat, miewa zawsze pązgowate zabarwienie na żółty lub pomarańczowy kolor. Niewątpliwa ta oznaka pochodzenia do najpóźniejszych nawet przechodzi pokoleń, świadcząc wymownie na korzyść nowożytnej teorii o atawizmie. Nieraz się nawet zdarza, że najmłodsze dzieci rodziny, którego bracia i siostry mają płeć zupełnie białą, różni się znacznie pod względem koloru skóry od starszego rodzeństwa, przypominając ciemną swą cerą afrykańskiego pradziadka.

Zresztą najpospolitszą cerą na wyspie Haiti jest ciemno-brunatna z pewnym czerwonym odcieniem. Rysy krajowców bywają po większej części bardzo regularne i piękne, wyraz twarzy ożywiony i inteligentny, wysokie zaś i kształtne czoła przypominają raczej typ kaukazki niżeli murzyński. Jedynym śladem afrykańskiego pochodzenia są twarde kędzierzawe włosy, oraz grube i wypukłe wargi.

Wieśniak, którego pseudocywilizacja miejska jeszcze nie zepsuła, posiada wszystkie wady i zalety dziecka. Jest on wesoły, naiwny, łagodny i posłuszny dla tych, którzy się dobrze z nim obchodzą, skoro go jednak ktoś skrzywdzi lub obije, wówczas staje się nagle gwałtownym i okrutnym. — Nadto każdy mieszkaniec tej wyspy poprzestaje na małym i woli próżnować, zadawałniając się jak najskromniejszym jadłem, niżeli zdobywać pracą dobrobyt i dostatek. Zresztą pocziwi wyspiarze są bardzo ochędźni, ale zarazem niezmiernie zabobonni, łatwowierni, zamiłowani w zabawach i skłonni do pijaństwa. Oto ogólne cechy murzyńskiej ludności tej wyspy.

Mówię to naturalnie tylko o ludziach osiadłych na roli i umiejących zaledwie trochę czytać, oraz podpisać swe nazwisko; zupełnie odrębny bowiem typ przedstawiają murzyni, którzy zwiedziwszy Amerykę, a nawet Europę, wracają na rodzinną wyspę już oświe-

cenii, ucywilizowani, ale niestety zbyt często... zepsuci. Wprawdzie i wśród nich znajdują się ludzie prawdziwie wykształceni i przejęci duchem zdrowego, racjonalnego patriotyzmu, ale daleko więcej napotyka się w tej murzyńskiej Rzeczypospolitej jednostek bez zasad, lub prześlątych fałszywymi i zgubnymi ideami.

Te ostatnie zamiast służyć swemu społeczeństwu, ulegają ślepo głosowi własnych namiętności, używając nabytej wiedzy w celu zadowolenia osobistej nienawiści, chciwości lub zemsty.

Daleko bardziej sympatyczny jest mieszkaniec Haiti w swoim kółku rodzinnym, chociaż bowiem bywa niekiedy despotyczny lub lekkomyślny, kocha jednak serdecznie żonę i dzieci, troszczy się o ich wygody i spokój, stara się jak najlepszą zapewnić im przyszłość, w domowych zaś i rodzinnych zwyczajach trzyma się ściśle tradycji dawnych białych kolonistów.

Najpospolitszym językiem w Haiti jest kreolski, stanowiący nader piękny i dźwięczny dyalekt francuskiego języka. Wszyscy zresztą, którzy umieją czytać i pisać, mówią też poprawnie po francusku, wykształczone zaś warstwy społeczeństwa, władają wyśmienicie tym językiem.

Mówiąc o ludności haickiej, nie możemy też pominąć milczeniem ludzi, stanowiących pewien łącznik pomiędzy białą a czarną rasą, a mianowicie mulatów. Są oni po większej części znacznie zdolniejsi i inteligentniejsi od murzynów, wielu zaś z nich pochodzi w prostej linii od dawnych białych osadników, którzy się żenili nader często ze swymi niewolnicami. Zresztą biedni ci ludzie nader fałszywe zajmują stanowisko, bo chociaż mówiąc z białymi, mawiają o sobie: »My biali«, w rozmowie zaś z murzynami oznaczają siebie samych nazwą: »my murzyni«, ani jedni wszakże, ani drudzy nie mają do nich zaufania i jawnie im to okazują.

Wogóle murzyn boi się i nienawidzi mulata, biały zaś niesłuszną względem niego objawia pogardę. Dlatego też mulaci stanowią w społeczeństwie haickim znaczną mniejszość i nie mają tej swobody działania, jaką się cieszą murzyni. Nie dziw więc, że taki stan rzeczy oburza ich do najwyższego stopnia i popycha nieraz do wybryków, które jak najgorsze dla nich samych pociągają następstwa. Zresztą chęć mieszania się do wszystkich spraw politycznych i społecznych, charakteryzuje wszystkich bez wyjątku mieszkańców Haiti, zamiłowanie zaś spisków i intryg wszelkiego rodzaju, stanowi słabą ich stronę.

Pod względem administracyjno-politycznym, cała wyspa dzieli się na jedenaście obwodów, a mianowicie: *Port-au-Prince*, *Cap-Haitien*, *Cayes*, *Jacmel*, *Gonaives*, *Port-de-Paix*, *Saint-Marc*, *Miragoane*, *Petit-Goave*, *Aquin* i *Jérémie*.

Stolica kraju *Port-au-Prince*, zwana także niegdyś *Port-Republicain*, leży nad głęboką i prześliczną zatoką,

porównywaną niejednokrotnie do zatoki w Rio-Janeiro. Zatokę tę zamyka wysepka Gonawa, szereg zaś wyniosłych wzgórz, bujną pokrytych roślinnością, zasłania miasto od wiatrów, powiewających na wybrzeżu.

Najbardziej ożywioną częścią stolicy jest dzielnica nadmorska, w której najbogatsi kupcy posiadają swe sklepy. Szerokie i ładnie wybrukowane ulice przecinają się wszędzie pod kątem prostym, po obu zaś ich stronach ciągną się murowane domy z długimi galeryami, wspartymi na arkadach i dostarczającymi przechodniom pożądanego cienia. W samym środku miasta wznosi się katedra, pałac biskupi, legacje, konsulaty, szkoły, arsenał, pałac sprawiedliwości, więzienie i bank, dalej zaś nieco koszary i magazyny wojskowe. Po za miastem wreszcie rozciąga się tak zwana *sawanna* czyli pole marsowe, na którym się wznosi pałac prezydenta, ztamtąd zaś wybornie utrzymana droga wiedzie do uroczej miejscowości Turgean, gdzie cudzoziemcy i najbogatsi mieszkańcy stolicy mają wille i ogrody.

Przylądek Haicki, zwany niegdyś Francuskim, później zaś za panowania Krzystofa Henryka I, przylądkiem Henryka, leży w północnej części wyspy, nad cieśniną noszącą nazwę Kanału wiatrów (*Canal des Vents*) i dzielącą wyspę Kubę od Haiti. Na samym krańcu tego przylądka wznosi się miasteczko *Mole-Saint-Nicolas*, które się odznacza wybornem położeniem pod względem strategicznym i w razie potrzeby mogłoby się stać wysmienitym posterunkiem wojskowym. Wreszcie wymienić jeszcze możemy portowe miasto *Jacmel*, będące jednym z głównych ognisk wywozowego handlu, tam bowiem zwykle ładuje się kawa na transatlantyckie okręta.

Jakżeśmy to już wyżej zaznaczyli, rząd wyspy Haiti jest republikański i opiera się głównie na konstytucji z r. 1889. Izba deputowanych składa się z 50 członków, wybieranych co trzy lata przez wszystkich pełnoletnich obywateli republiki. W skład senatu wchodzi 39 mężów stanu, których większa część zostaje mianowana przez Izbę deputowanych, reszta zaś przez prezydenta. Każdy senator piastuje swą godność w przeciągu lat sześciu, aby zaś ją otrzymać, potrzeba być właścicielem jakiej nieruchomości, trudnić się handlem lub rzemiosłem i przekroczyć trzydziesty rok życia. Co lat siedm senat łączy się z Izbą deputowanych w tak zwane zgromadzenie narodowe, które większością głosów obiera prezydenta.

Chorągiew narodowa wyspy Haiti jest dwukolorową, to jest niebiesko-czerwoną, barwy zaś jej zostały przyjęte z trójkolorowej chorągwi francuskiej, z której po zniesieniu niewolnictwa, obywatele murzyńskie republiki odrzucili kolor biały.

Ogólny kierunek spraw państwowych spoczywa w ręku sześciu departamentów ministerjalnych, a mianowicie ministerjum spraw zagranicznych i sprawiedliwości, finansów i handlu, wojny i marynarki, spraw

wewnętrznych i policyi, wyznań i oświaty, tudzież robót publicznych i rolnictwa.

Należy przyznać, że sfery rządzące w Haiti starają się utrzymać jak najlepsze stosunki z zagranicznymi mocarstwami. Francję i Niemcy reprezentują tam tak zwani ministrowie plenipotenci, Stany Zjednoczone mają w Port-au-Prince swego ministra rezydenta, inne zaś państwa ambasadorów lub konsulów. Wzajemnie też Rzeczpospolita Haiti utrzymuje w kilku europejskich i amerykańskich stolicach swych agentów dyplomatycznych, albo konsularnych.

Prawodawstwo tamtejsze opiera się na trzech kodeksach: cywilnym, karnym i proceduralnym, i pod wielu względami zbliża się do obecnego prawa francuskiego.

Wreszcie w Port-au-Prince, Cayes, Gonaives, Jacmel, Jérémie i Port-de-Paix, istnieją trybunały cywilne, karne i handlowe, zależne do pewnego stopnia od trybunału kasacyjnego, rezydującego w stolicy. Wymiarowi sprawiedliwości w tej murzyńskiej republice, towarzyszy cały szereg form zewnętrznych, zaczerpniętych z Europy; jeżeli zaś wymowa adwokatów i bezstronność sędziów niejednokrotnie surową ściągają na siebie krytykę, to jednak w tak niedawno założonem państewku, niepodobna tego brać za złe.

Regularne wojsko republiki liczy zaledwie w swych szeregach 6828 ludzi, ale natomiast nader pokaznie przedstawiają się oddziały ochotników i obrony krajowej. Dodać nie zawadzi, że dymisjonowani lub tytularni generałowie dość licznie stanowią tam grono, pułkowników również jest mnóstwo, kapitanowie zaś i porucznicy tworzą prawdziwy legion. Z tego powodu mundur wojskowy niezbyt wielki w krajowcach wzbudza szacunek. Co się tyczy floty, to składa się ona z trzech okrętów wojennych i jednego pancernika.

Zasługuje też na uwagę, że szczęśliwa ta republika znajduje się w nader pomyślnem położeniu finansowem, którego inne, daleko większe mocarstwa mogłyby jej pozazdrościć. Niema tam żadnych wcale podatków, jedyny zaś dochód państwowy stanowi cło, tak, że handel musi ponosić wszystkie bez wyjątku ciężary publiczne. Dzięki takiemu stanowi rzeczy, wszyscy mieszkańcy mniej lub więcej czynne wiodący życie, cieszą się tam dobrobytem a nawet zamożnością.

Pomimo nader utrudnionej komunikacji lądowej, regularność i systematyczność poczty nic nie pozostawia do życzenia. W r. 1887 liczone na całej wyspie 37 biur pocztowych, dochód zaś z nich wynosił 73.300 franków, a wydatki 139.042 franków. Pod kierunkiem ministerjum spraw wewnętrznych pozostaje cały system policyjny, większa zaś część urzędów tej gałęzi powierzona jest żołnierzom, którzy trzymają straż na główniejszych ulicach miast, tudzież w pobliżu gmachów rządowych i wojskowych.

Nader ważną rolę odgrywa tu policja tajna, której agenci tak zręcznie umieją się ukrywać, że niepodobna zdać sobie sprawy ze środków, jakimi się posługują. Niestety, wszystkie niemal więzienia w oplakanym znajdują się stanie; najbardziej zaś palącą kwestyą jest to, że najniebezpieczniejsi zлочyncy i więźniowie polityczni, odsiadują tam karę razem z przestępcami, skazanymi za ledwie na kilka dni aresztu, co na tych ostatnich ujemny wpływ wywiera.

Co do oświaty publicznej, to znajduje się ona na jak najlepszej drodze. Do szkół uczęszcza mnóstwo młodzieży płci obojga, liczba zaś analfabetów z każdym

dniem się zmniejsza. Wielkie usługi oddaje młodzieży kilka średnich zakładów naukowych, a zwłaszcza kolegium utrzymywane przez misjonarzy Kongregacji Ducha świętego, a przygotowujące młodych mieszkańców Haiti do wyższych specjalnych szkół francuskich. Coraz też więcej młodzieńców tej wyspy wyjeżdża corocznie do Paryża w celu otrzymania stopnia doktorów prawa lub medycyny i należy przyznać, iż oni to właśnie podczas egzaminów uniwersyteckich składają najpiękniejsze dowody pilności i zamiłowania wiedzy.

Prasę reprezentuje w Haiti mnóstwo organów najrozmaitszego formatu, treści i kierunku. Do najbardziej



Kościół i klasztor św. Anny w Jerozolimie, należący do »Białych Ojców«. (Zob. str. 268).

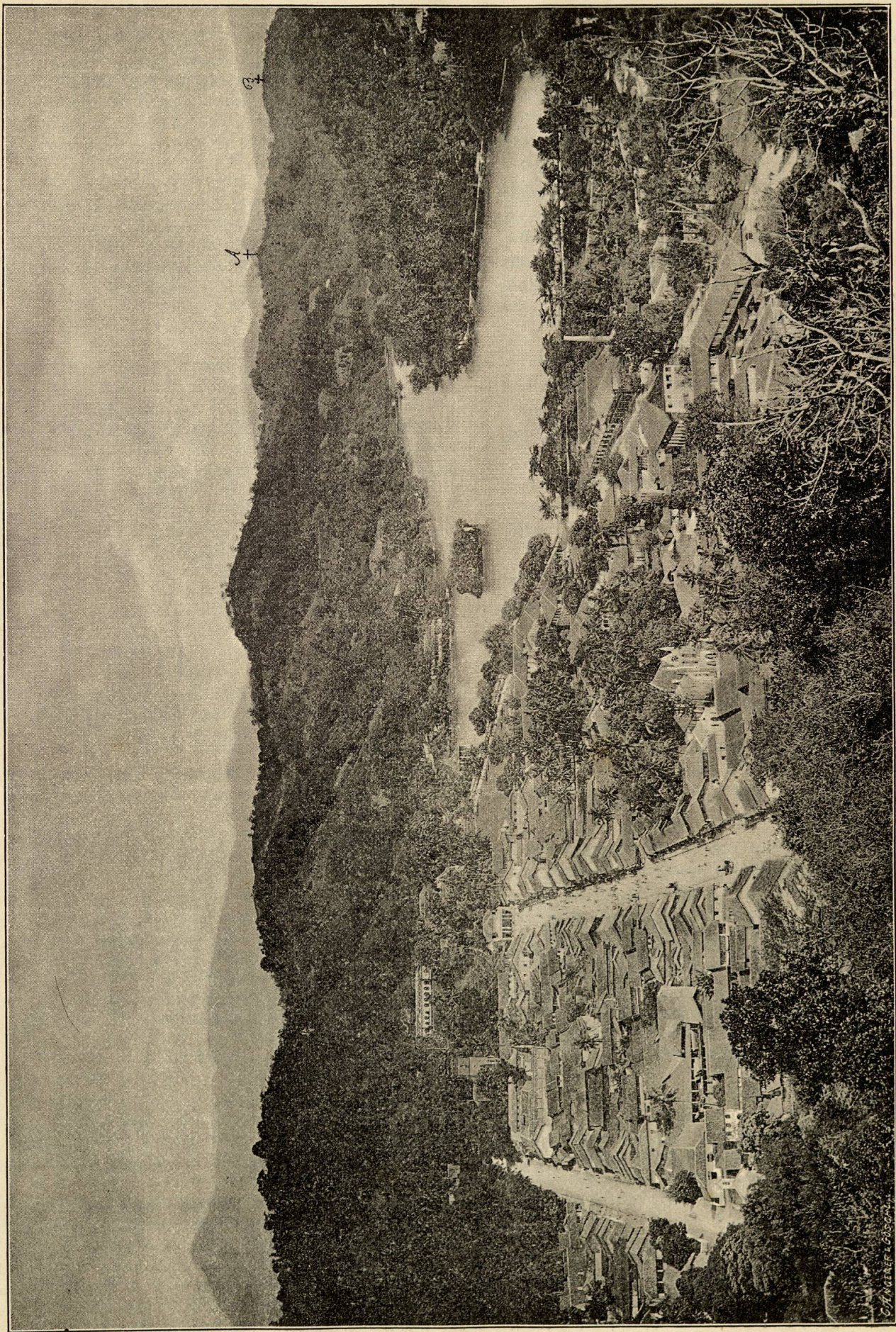
poczytnych dzienników i czasopism, wychodzących w stolicy, należą: *le Moniteur*, *l'Ordre*, *le Peuple*, *Haiti-Bulletin*, *La Revue-Expresse*, *Le Zingue din*, *La Voix* i *l'Oeil*. Łatwo się domysleć, że wszystkie dzienniki poświęcają najwięcej miejsca w swych szpaltach kronice miejscowej, lub też polemice politycznej, bez której żaden prawdziwy obywatel Haiti żyćby nie potrafił.

Religią państwową jest katolicyzm, wszystkie jednak inne wyznania cieszą się tam zupełną tolerancją. W Port-au-Prince mieszka arcybiskup, a na przykładu Haickim biskup katolicki. Znaczna część proboszczów rekrutuje się z księży francuskich, przybyłych z Bretanii. Od kilku lat misjonarze protestancy, przysłani z Jamajki, starają się pozyskać adeptów dla swej sekty,

lecz usiłowania ich dotychczas niezbyt świetnie przedstawiają się.

Dzięki wpływowi cywilizacji, coraz bardziej zacierają się ostatnie ślady zabobonów i przesądów, zakorzenionych niegdyś tak głęboko w obyczajach i zwyczajach mieszkańców Haiti. Z dawnych bałwochwalczych obrzędów, nakazywanych przez religię Waudon, nie pozostało już ani śladu.

Dotychczas jednak nie zdołano wykorzenić czci oddawanej wężom, jak również głębokiej wiary w cudowną potęgę czarowników, którzy rozdają zabobonnym krajowcom lekarstwa, amulety i t. p. Wielu nawet wyspiarzy, utrzymujących jak najlepsze stosunki z proboszczem i spełniających gorliwie wszelkie praktyki religijne, nie waha się uczestniczyć potajemnie w zabobonnych



Ceylon. — Widok na miasto Kandy, rzekę Mahaveli Ganga i »Litwę«, czyli grunta zakupione dla centralnego hinduskiego Seminarium (A—B).

W miejscu oznaczonem literą A, stanie kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Podług fotografii przysłanej przez JE. X. Arcyb. Wł. M. Zaleskiego, Delegata apost. w Indjach, (porównaj *Missye katolickie* z r. 1893, str. 291 i nast.).

pogańskich obrzędach, które czasami bywają urządzone wpośród gór i lasów, zdala od wszelkiego ludzkiego siedliska. Główną rolę w takich obrzędach, przypominających nieco zwyczaje afrykańskich ludów, odgrywają tańce, obfite libacje i hałaśliwa muzyka na bębnach i piszczałkach. Niekiedy nawet krajowcy pomimo przestróg swojego proboszcza, używają rozmaitych wielce podejrzanych lekarstw, dostarczanych im przez *papaloja*, czyli czarownika, lub też za sowitą zapłatę nabywają u niego talizmany, mające zabezpieczyć od wszelkich klęsk i nieszczęść. Zdarza się to jednak rzadko, wogóle zaś ludność katolicka ulega chętnie radom i rozkazom duchownych swych zwierzchników.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów parę o ministerium robót publicznych w Haiti. Według wszelkiego prawdopodobieństwa departament ten nie wiele zadaje sobie pracy, gdyż pod względem upiększenia miast, oraz ułatwienia w głębi wyspy komunikacji wodnej i lądowej, wiele, bardzo jeszcze wiele pozostaje do zrobienia. Jeżeli bowiem rząd tej rzeczypospolitej pragnie rzeczywiście zrobić co dobrego dla kraju, oraz poprzeć czynnie rozwój jego handlu i przemysłu, to musi przede wszystkim zbudować koleje żelazne i kilka portów, utorować wiele dróg, wykarczować znaczne przestrzenie, aby je uczynić zdadnymi do uprawy, tudzież zająć się gorliwiej, niż dotąd, asanizacją miast, wszystko to zaś wymaga nie mało czasu, pracy i pieniędzy.

Oto, jak się przedstawia obecny stan wyspy Haiti, tak szczerze uposażonej przez przyrodę, gdzie każda zatoka jest naturalną przystanią, każda góra kryje w swem łonie żyłę jakiegoś kruszcu, każda rzeka zawiera piasek złoty, grunt zaś bez najmniejszej uprawy wydaje wszystko, czego od niego zażądają.

Dotychczas, niestety, wyspa ta na drodze oświaty i cywilizacji nader powolnym postępowała krokiem; zdaje się jednak, iż młode pokolenie jej mieszkańców, nauczone doświadczeniem swych przodków i wzbogacone wiedzą, stanowi rękomię jaśniejszej przyszłości uroczego tego zakątka, zwanego słusznie perłą antyllską¹⁾.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

Azya. — Dżuma w Chinach. W listach misyjonarzy, wysłanych do medyolańskiego seminarium z Hong-Kongu, mieszczą się okropne szczegóły o dżumie, panującej tam od kilku miesięcy. Tak na przykład, dnia 6 czerwca jeden z misyjonarzy pisał co następuje:

¹⁾ Powyższy artykuł skreśliliśmy na podstawie konferencji R. wice-hrabiego de Bondy, wygłoszonej w Tokio dnia 1 kwietnia 1893 r. na posiedzeniu Towarzystwa japońskiego, założonego dla popierania języka francuskiego, a zamieszczonej w *Revue Française du Japon*. Avril — Mai, 1893, Tokyo.

»W przeciągu ubiegłego tygodnia umierało codziennie około stu osób. Dotychczas epidemia szerzy się tylko w dzielnicy chińskiej, ale niestety, straszne wyrządza tam spustoszenie. Około 40.000 Chińczyków z przestachu opuściło miasto. Na niektórych ulicach wszystkie domy są puste, w porcie zaś również panuje pustka i posępna cisza. Wielkie parowce odpływają na pełne morze, handel obumiera, nędra zaś wzrasta z dniem każdym.

W ostatnich dniach umarło także kilku Anglików i dwudziestu naszych wiernych. Dotychczas z pomiędzy wszystkich chorych, pielęgnowanych w szpitalu, pięciu zaledwie wyzdrowiało, umarło zaś tysiąc. Dzięki jednak widocznej opiece Niebios, wszyscy nasi misyjonarze i zakonnice wybornem dotąd cieszą się zdrowiem, chociaż od rana do nocy pracują w szpitalach, pielęgnując nieszczęśliwych, dotkniętych dżumą.

Tenże sam misyjonarz przesłał dnia 25 czerwca następujące szczegóły:

»W dzielnicy chińskiej Tai-Ping-Szang, leżącej w samym środku miasta, postanowiono zburzyć 350 domów, których mieszkańcy umarli z dżumy. Przeszło 80 000 Chińczyków opuściło Hong-Kong. W przeciągu pierwszego miesiąca od chwili wybuchu epidemii, zabrała ona z tego świata około 100.000. Sami nawet protestanci nie mogą znaleźć dostatecznych słów pochwały z powodu poświęcenia i zaparcia się siebie misyjonarzy i zakonnic.

W bardziej jeszcze okropny sposób szerzy się zaraza w ogromnym mieście Kantonie, stolicy prowincji Kuang-Tongu. Podług sprawozdania wikaryusza apostolskiego X. biskupa Chausse, umiera tam codziennie parę tysięcy ludzi. Od początku wiosny do dnia 10 czerwca pochłonęła zaraza około 100.000 ofiar. Wszyscy uciekają na wieś, chociaż tam jakby na domiar nieszczęścia długa posucha wszelkie zniweczyła plony. Od października roku ubiegłego aż do maja nie spadła w tej prowincji ani kropla deszczu. W wielu miejscach plantacje ryżu, patatów i pistacji, zupełnie uległy zniszczeniu. Wreszcie w końcu maja zaczęły padać tak ulewne deszcze, że większa część prowincji Kuang-Tong dotknięta została powodzią, o żniwach zaś nawet myśleć było niepodobna.

Postępy cywilizacyjne w Chinach od r. 1860. — Pod powyższym tytułem p. Ly-Czao-Pee, uczony chiński mandaryn piątej klasy, ozdobiony kryształowym guzikiem i piastujący godność sekretarza, a zarazem tłumacza przy poselstwie chińskim w jednym z państw europejskich, jak również członka chińskiej akademii, zaszczyconego orderem smoka, wygłosił niedawno temu na prośbę lyońskiego geograficznego towarzystwa, nader ciekawy odczyt w Rouen:

»W ostatnich latach — rzekł między innemi p. Ly-Czao-Pee — założyliśmy w Pekinie szkołę cudzoziemskich języków i uniwersytet zorganizowany zupełnie na wzór paryskiego, z tą jedynie różnicą, że studenci zamiast płacić za swoją naukę, sami jeszcze otrzymują zapłatę. W kilku większych prowincjach istnieją już u nas szkoły obcych języków, jak również wyższe zakłady naukowe handlowe i przemysłowe, szkoły wojskowe, a nawet medyczne, w których nauka odbywa się podług europejskiego systemu.

Nasz wice-król Ly-Hung-Czang, zwany chińskim Bismarkiem, a którego jabym nazwał raczej chińskim Richelien, zreorganizował całkiem armię, która obecnie podczas pokoju składa się z 1,030.000 ludzi, uzbrojonych i wyćwiczonych po europejsku, w razie zaś wojny, może wystawić 10, a nawet więcej milionów żołnierzy (?).

Od roku 1885 mamy ministerium marynarki, tudzież dwie floty i 30.000 marynarzy wojskowych. Pałac »syna nieba«, większy o pięćdziesiąt razy od waszego Luwru, elektrycznym oświetlony jest światłem. Mamy także dzienniki, wcale nie gorsze od europejskich, druk zaś znany był już u nas od VII wieku. W przeciągu ostatnich lat dziesięciu zbudowaliśmy kilka linii kolei żelaznych, chociaż przedsiębiorstwo to niemało napotkało trudności. Przedewszystkiem

należało wykorzystać mnóstwo uprzedzeń i przesądów naszego ludu w tej mierze i musimy przyznać, że największe usługi oddają nam pod tym względem katolicy misjonarze.

Rzeczywiście jedyny środek oświecenia mas spoczywa w katolicyzmie. Mówili niektórzy, a nawet przez czas długi mniemano powszechnie, że niepodobna cudzoziemcowi wyuczyć się naszego języka. Mylne to jednak mniemanie, gdyż potoczny nasz język składa się zaledwie z 7000 wyrazów, gdy przeciwnie wasze słowniki liczą ich około 120.000.

Mamy także mennicę, ponieważ zaś oddawna przyjęty został w Chinach wasz system dziesiątkowy, wybijamy więc monety pięcio, dwu i jedno-frankowe, a nawet pięćdziesięcio-centymowe podobne do tych, jakie u was krążą w obiegu.

Od lat kilku zaczęliśmy używać znaczków pocztowych, które przez namiętnych zbieraczy z zapalem są poszukiwane. Niegdyś było w Chinach zaledwie pięć portów dostępnych dla Europejczyków, dzisiaj zaś jest ich już dwanaście; całe zaś wybrzeże chińskie oświeca, podobnie jak u was, szereg latarni morskich.

Jak to już powiedziałem, katolicyzm coraz większe robi w Chinach postępy tak, że obecnie kraj ten liczy już 1,095.000 katolików, gdy tymczasem cyfra protestantów zaledwie do 33.000 dochodzi¹⁾. Rząd nie jest wcale ateistyczny, tembardziej, że wogóle w naszym państwie niema bezwyznaniowców. Doszedłem też do przekonania, że jedynie katolicyzm może odrodzić moją ojczyznę²⁾.

Naturalnie wynagrodzono mówcę pełnemi zapalą oklaskami, przewodniczący zaś w imieniu całego zgromadzenia, podziękował prelegentowi za ciekawy jego odczyt.

Pan Ly-Czao-Pee jest czterdziestoletnim człowiekiem średniego wzrostu, bardzo wesoły i ożywiony, po francusku zaś mówi nader biegle, chociaż z pewnym twardym akcentem, który mowie jego odrębną nadaje cechę. Odczyt swój przeplatał niekiedy trafnie wybranymi cytatami z klasyków łacińskich, co świadczy wymownie jaką korzyść odniósł zdolny i wykształcony ten mandaryn z nauk udzielanych mu niegdyś w misyjnym katolickim zakładzie w Czong-Kinie. Wprawdzie niektóre ustępy odczytu były przesadzone, wogóle jednak, jak to widać z wybornej książki p. A. H. Exner'a o Chinach, Ly-Czao-Pee ma trafne pojęcie o stosunkach w swojej ojczyźnie.

Afryka. — Emin basza i katolicy misjonarze. W jednym z ostatnich zeszytów czasopisma *La Nigriā*, wydawanego przez werońskich misjonarzy, poświęcono zaszczytną wzmiankę znanemu badaczowi Afryki, Eminowi baszy. Między innemi mieszczą się tam nowe i wielce ciekawe szczegóły o jego stosunkach z misjonarzami katolickimi wówczas, gdy mu powierzono godność namiestnika w jednej z afrykańskich prowincyj.

„Każdego roku — czytamy — jeździł Emin basza z Lado do Chartumu, aby się porozmnieć z tamtejszym namiestnikiem co do stosunków miejscowych i podczas jednej z takich wizyt zaprosił naszym misjonarzem, aby założyli misję katolicką na terytorium powierzonym jego pieczy.

„Przed pięciu dniami — pisał dnia 12 marca 1882 r. Ojciec Leon Henriot, przełożony misji chartumskiej — przybył tu z nad jezior Afryki Podrównikowej sławny Dr Emin-bej. Wczoraj odwiedził on nas i zapytał, dlaczego dotychczas żaden z nas nie zamieszkał w jego kraju. Dodał też, że Lado przedstawia dla katolicyzmu daleko lepszą rękojmnię przyszłości, niżeli Kordofan, a nawet Uganda, gdzie anglikańscy pastrowie zupełne zrobili *fiasco*. Potem opowiadał, że wykupiwszy kilka tysięcy niewolników, odesłał ich z powrotem do ojczyzny, co wielkie wśród dwudziestu murzyńskich

plemion zjednało mu wpływy i znaczenie. Wreszcie zapewniał, że skorobyśmy tylko przybyli do Lado, powierzyłby nam niezwłocznie naukę wszystkich murzyńskich chłopców i dziewcząt, oraz, że strony władz rządowych, najmniejszej nie doznałybyśmy przykrości.

„Gdybyście natychmiast przyjechali — dodał wreszcie przy końcu naszej rozmowy — to zwróciłbym wam koszta podróży, w przeciągu całego pierwszego roku dostarczałbym środków utrzymania, a nadto dopomógłbym do budowy rezydencji misyjnej. Jeżeli jednak będziecie się wahać i dacie się wyprzedzić amerykańskim protestantom, wówczas będę zmuszony przechylić się na stronę tych ostatnich, a to dlatego, że cywilizacja plemion, powierzonych mej pieczy, bardzo mi leży na sercu, o ile możliwości więc pragnę popierać ludzi, którzy zechcą pracować w tym kierunku.

Z listu O. Henriot'a, skreślonego dnia 21 kwietnia tegoż samego roku widzimy, że Emin basza niejednokrotnie zwracał się do misjonarzy z prośbą o założenie misji w Lado, jak również, że O. Henriot nie omieszkiał przedstawić tej kwestji swym przełożonym w Weronie. Niestety, powstanie Mahdiego, które wkrótce potem wybuchło w całym Sudanie i wywołało zniszczenie misji w Afryce środkowej, pokrzyżowało wszystkie cywilizacyjne plany tego słynnego badacza.

Wikaryat apostolski Natalu. — Nowy opat w Marianhillu. Zgromadzenie zakonne i misja Trapistów w Marianhillu otrzymały nowego opata i kierownika. Dekret nominacyjny brzmi jak następuje:

„My F. R. Marya Sebastyan, generalny opat zreformowanych Cystersów Najświętszej Maryi Panny della Trappe, naszemu ukończanemu synowi w Chrystusie, Dom Amando, zakonnikowi w klasztorze Marianhill w Natalu.

„Ponieważ opactwo w Marianhill skutkiem dymisji dotychczasowego opata Dom Franciszka zostało opróżnione, przedsięwzięliśmy więc niezbędne w tej mierze kroki i na mocy dekretu świętej Kongregacji de Propaganda Fide z dnia 27 września 1893 r. postanowiliśmy po gruntownem zbadaniu twych zasług i cnót, a zwłaszcza prawości, gorliwości, mądrości i doświadczenia, mianować cię opatem powyższego klasztoru w Marianhill, gdyż wiemy, że posiadasz wszelkie zakonne przymioty, jakich święta nasza reguła wymaga od każdego, kto ma być wyniesionym do wysokiej godności opata.

„Pragniemy też, aby Jego Przewielebność X. biskup Jolivet, wikaryusz apostolski Natalu, jako upoważniony do tego przez świętą Kongregację Propagandy, raczył dopełnić obrzędu twojej instalacji, jak również, abyś go uprosił o łaskę pobłogosławienia cię na opata i otrzymał to błogosławieństwo podług obrządku świętego rzymskiego Kościoła, tudzież rytuału naszego zakonu.

„Dlatego też rozkazujemy wszystkim podległym nam członkom tego zakonnego zgromadzenia wogóle i każdemu z nich z osobna, jak również wszystkim przełożonym stacyj misyjnych, połączonych z marianhillskim klasztorem, aby cię uznawali za prawdziwego opata i jako takiemu okazywali ci zawsze należną cześć, szacunek i posłuszeństwo.

„Staraj się więc, ukochany Synu, zarówno słowem, jak przykładem, zarówno gorliwością w utrzymywaniu karności klasztornej, jak i duchem prawdziwie ojcowskiej miłości zachęcać powierzoną ci trzodę do wypełnienia wszelkich cnót chrześcijańskich. Czuwaj nad tem, aby każdy wykonywał gorliwie swoje obowiązki i odbywał sumiennie wszelkie ćwiczenia zakonne. Dołóż jak największych możliwych starań, ażeby wszyscy zakonnicy podlegli ojcowskiej twej pieczy, służyli Bogu i Panu naszemu w ścisłem spełnieniu reguły św. Benedykta, wówczas bowiem jedynie za wolą, łaską i pomocą Bożą będziesz mógł się cieszyć pomyślnym rozwojem swej trzody.

„Wielką sprawiam nam radość, że wielu twych synów, oprócz kapłańskiego i zakonnego życia, może wieść jeszcze życie aposto-

¹⁾ Obie te cyfry są bardzo przesadzone, gdyż Chrystyanizm niema tam jeszcze tylu adeptów, chociażby nawet do nich zaliczono Europejczyków, osiadłych w Chinach.

skie w kilku stacyach missyjnych, założonych pomiędzy niewiernymi przez zacnego i czcigodnego twego poprzednika Dom Franciszka.

»Wreszcie składamy Bogu gorące dzięki za wszystkie łaski, jakie raczył wyświadczyć marianhillskiemu klasztorowi, oraz za powołanie ciebie do godności opata. Dzielimy się też z wami wszystkimi naszym szczęściem i radością, błagając pokornie Pana, aby ci, ukochany nasz synu, raczył zysłać z Nieba łaskę swą i pomoc.

»Na potwierdzenie autentyczności niniejszego dekretu i wszystkiego, co się w nim zawiera, opatrujemy go naszą pieczęcią i własnoręcznym podpisem, jak również podpisem naszego sekretarza. Niechaj też będzie to zarazem oznaką szczerzej życzliwości, jaką dla ciebie żywimy.

»Dan w Rzymie w Naszej Prokuratorji pod wezwaniem św. Jana Laterańskiego, dnia 9 października 1893 r.

† Fr. Marya Sebastyan, abbas gen. O. C. R.

»Z polecenia Przewielebnego generalnego Opat

Fr. Marya Benedykt, sekretarz«.

Dekret więc powyższy został skreślony jeszcze w roku ubiegłym, ale dopiero dnia 25 kwietnia r. b. w uroczystość św. Marka zabrano się do jego wykonania, wówczas bowiem odbyła się wspólna ceremonia wyświęcenia opata, w której nietylko Trapiści, ale także wszyscy Kafrowie chrześcijanie z Marianhillu gremialnie wzięli udział.

Dzisiejszy opat, Przew. Dom Amandus Scholzing, urodził się 3 maja 1836 r. w Jaworniku (Jauernig) na Szląsku Austriackim i w młodości wstąpił do słynnego augustyńskiego klasztoru Klosterneuburg pod Wiedniem, gdzie w przeciągu 23 lat pracował, bądź jako profesor wschodnich języków, bądź też jako kierownik nowicjuszków.

Pragnienie surowszego ascetycznego życia i apostolskiej działalności, zawiadło go wreszcie do missyi Trapistów w Natalu, gdzie dnia 31 maja 1891 r. złożył zakonne śluby, aby wkrótce potem zostać znowu mistrzem nowicjuszków.

Gdy Dom Franciszek, poprzedni opat i założyciel marianhillskiego klasztoru, złożył swój urząd, wówczas O. Amandus otrzymał nominację na administratora tego zakonnego zgromadzenia, a w roku ubiegłym na kapitule generalnej w Septfonds, odbytej we wrześniu, przedstawiono go jako kandydata do godności opata.

Na zakończenie możemy jeszcze dodać pocieszącą wiadomość, że pomiędzy wychowancami seminarium Propagandy w Krymie znajduje się także pewien murzyn z Marianhillu, Edward Müller, który otrzymał to imię i nazwisko na pamiątkę jednego ze swych dobroczyńców. Od lat już sześciu przebywa on w murach świętego miasta i obecnie jest tonsurystą, po czterech zaś latach ostatnie otrzyma święcenie i jako pierwszy kapłan ze swego plemienia powróci do ojczyzny. Przewielebny X. Rektor seminarium oświadczył nawet Bratu Willibaldowi, Trapiście z Marianhillu, od którego otrzymaliśmy z Rzymu wszystkie powyższe szczegóły, że gotów jest przyjmując kilku jeszcze innych kafryjskich młodzieńców.

Ameryka. — Meksyk. — Kościoły w stolicy meksykańskiej.

Zakłady Sióstr Sercanek. Z listu pewnej zakonnicy Zgromadzenia Sercanek, wyjmujemy następujący ustęp:

»Miasto Meksyk liczy około 300.000 mieszkańców. Najpiękniejsze gmachy leżą w środku miasta. Katedra jest stara i bardzo piękna. Oprócz katedry posiada jeszcze Meksyk 24 pomniejsze kościoły, które prawie wszystkie widziałam. Są to po większej części

kościółki parafialne. Na pierwszy rzut oka można odgadnąć, że z dość odległej pochodzą epoki. Dawny kościół OO. Jezuitów należy obecnie do Oratoryanów i nosi nazwę *La Professe*, klasztor zaś jezuitski w prywatnym znajduje się rąku. Po jednej stronie ogromnego katedralnego placu wznosi się nader piękny dawny pałac cesarski. Dzisiejszy prezydent rzeczypospolitej mieszka zwykle w jakimś zamku w pobliżu stolicy.

Na uwagę też zasługuje gmach pocztowy i kilka gmachów rządowych. Długie i proste ulice, ciągnące się od środka miasta we wszystkich kierunkach i przetrnięte innymi również prostymi ulicami, nie przyniosłyby bynajmniej wstydu największym miastom europejskim. Tylko tak zwane stare miasto, zamieszkane przeważnie przez Indian, wcale pięknością się nie odznacza. Domy są małe, jaskrawo pomalowane i ozdobione ogromnymi, nader oryginalnymi napisami, jak na przykład *Ciudad de Londres* (miasto Londyn), *El Puerto de Santander* (Port Santander), *El Panal* (plaster miodu), *El Indio triste* (smutny Indianin), *Botica de la Caridad* (sklep pod miłosierdziem), *Zapateria della violetta* (magazyn szewski pod fiołkiem) i t. p. Tu i owdzie na ulicach snują się harfiarze i jeźdźcy, gdyż jazda konna jest tu na porządku dziennym, tak, że nawet kobiety i dziewczęta gorliwie w niej ćwiczą się. Ludzie zamożni mają piękne konie, Indianie zaś zadawalniają się mułami. Na każdym rogu ulicy stoi policyant dla utrzymania porządku.

Na starym mieście widzieliśmy dziwaczne drewniane budy, w których wszystkiego można było dostać. Jeżeli ktokolwiek w Meksyku coś zgubi, to może być pewny, że w tych budach znajdzie swoją zgubę, gdyż niektórzy ludzie trudnią się wyłącznie handlem znalezionych lub skradzionych rzeczy. W pośrodku miasta ciągnie się długi i piękny bulwar, stanowiący ulubione miejsce przechadzki, na niektórych zaś przedmieściach całe ulice składają się z prześlicznych will, w nowożytnym zbudowanych stylu. Nasz dom leży na samym niemal końcu miasta przy bardzo szerokiej ulicy.

»Klasztorne nasze zabudowania składają się z czterech dużych domów, to jest samego klasztoru, pensjonatu, eksternatu i szkoły dla ubogich. Dwa pierwsze zbudowane są na sposób hiszpański z wewnętrznym dziedzińcem (*El patio*) i zewnętrznymi galeriami, dwa ostatnie na sposób północno europejski, wszystkie zaś płaskim pokryte są dachem. Mamy obecnie sto pensjonarek, 250 uczennic przychodnich, przebywających w szkole od 8 rano do 5 wieczorem i około 500 dzieci indyjskich od lat 5 do 14, które uczęszczają do naszej ochronki. — Nadto mamy jeszcze osobną szkołkę dla chłopców od lat 5 do 16, po większej części braci naszych uczennic, którym wykładamy początkową gramatykę ojczystego ich języka. Ilość tych uczniów obecnie zaledwie do 25 dochodzi. Cała ta dziatwa otrzymuje od nas codziennie śniadanie, obiad i wieczrę. Zresztą żywność indyjskich dziewcząt niezbyt wiele kosztuje. Każdego rana przynoszą one ze sobą drewniane talerze i łyżki, otrzymawszy zaś swoją porcję, zasiadają na dziedzińcu pod drzewami. Rozdawaniem jadła trudni się kilka posługaczek klasztornych i starszych dziewcząt, przed spożyciem zaś posiłku wszystkie dzieci odmawiają wspólnie odpowiednią modlitwę.

Zwykle pożywienie Indianek stanowi zupa z ryżu i czarnej fasoli i kawałek chleba. Biedne dzieci spożywają z apetytem skromny ten posiłek, wiedzą bowiem, że w domu rodzicielskim nic już nie dostaną. W pobliżu klasztoru mamy rozległy i piękny ogród, dotychczas jednak nie posiadamy jeszcze kościoła, ale tylko kaplicę w dużej i ślicznej sali, gdzie na ołtarzu wznosi się piękna statua Pana Jezusa.